



## DZIENNIKI MAROKAŃSKIE

## Przed podróżą

---

Dopiero skończyłem pisać wspomnienia z wycieczki, jaką odbyłem w sierpniu z Igą, moją córką, do Danii. A w międzyczasie wydarzyła się kolejna podróż i kolejna wielka przygoda – wyprawa do Maroko z przyjacielem Maćkiem oraz grupą nieznanym mi osób.

Jeszcze dziś rano przeglądałem sobie moje zapiski z Danii. I łapię się na tym, w jak niesamowicie innej kondycji psychicznej byłem przed każdą z tych wypraw. Wręcz ze zdumieniem czytałem o perfekcyjnych przygotowaniach do duńskiej wyprawy, zaplanowaniu wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach, wręcz obawach, co się ze mną dzieje, skąd u mnie się taki perfekcjonizm uwolnił – a jest to sposób na życie, którego raczej unikam jak ognia. Minęły niecałe dwa miesiące i... wahadło wychyliło się całkiem w drugą stronę. Szykując się do marokańskiej wyprawy byłem rozlazły jak flaki z olejem. Za nic nie chciało mi się zabrać, wszystko robiłem na ostatnią chwilę, na siłę, bez ładu i składu. Jakby jakaś zewnętrzna siła chciała powstrzymać mnie przed tym wyjazdem. A może chodziło o to, że wyprawa była organizowana przez zewnętrzny podmiot, mniej zależało ode mnie, więc uznałem, że „jakoś to będzie”. A może też chodziło o to, że po raz pierwszy szykowałem się do wyprawy motocyklowej i temat mnie trochę przerastał?

Bo celem tej wyprawy było zwiedzanie Maroko na motocyklach. Maciek znalazł taką wycieczkę w necie jeszcze w zeszłym roku, w grudniu podpisaliśmy umowy i potem cierpliwie czekaliśmy, aż właściwy termin nadejdzie. Organizator (naprawdę godna polecenia MotoEspana) organizował całą wyprawę ze Śląska. Plan był taki, że wszyscy uczestnicy dostarczają swoje motocykle do Bielska-Białej, skąd będą one przewiezione na przyczepie do hiszpańskiego miasteczka Manilva. My mieliśmy dolecieć samolotem z Krakowa do Malagi, stamtąd transferem do Manilvy, gdzie odbierzemy motocykle i dalej udamy się już „wierzchem” do portu Algeciras na prom, którym popłyniemy do Tanger Med w Maroku i dalej pojedziemy w głąb ładu. Poza mną i Maćkiem reszta uczestników faktycznie zamieszkuje Śląsk. Dla nas jednak optymalniej okazało się lecieć do Malagi bezpośrednio z Warszawy. W wyniku zawirowań lotniczych (nasz przewoźnik musiał uzziemić część maszyn z powodu wykrytej usterki silnika i w związku z tym zmienić siatkę połączeń) okazało się, że wylądujemy w Maladze dobę wcześniej niż cała grupa. Kontrolnie zarezerwowałem więc nam hotel nieopodal lotniska i cierpliwie czekaliśmy, aż wybije godzina zero. To znaczy ja cierpliwie. Maciek jest mistrzem chaosu i tysiącokrotnego zmieniania planów, zwłaszcza na ostatnią chwilę, więc w jego wydaniu pewnie tak cierpliwie nie było.

Anyways... nadszedł październik i pewnego pięknego dnia, na około tydzień przed planowanym wylotem, zapakowaliśmy motocykle oraz torby z motocyklowymi ciuchami na przyczepkę Macieja, z którą następnie on sam udał się do Bielska-Białej. Tam nasze moto dołączyły do reszty transportu i wraz z pozostałymi zostały wyekspediowane na południe Hiszpanii, aby cierpliwie czekać na przyłot ich właścicieli. A ja zacząłem w wyjątkowych bólach szykować się do wyjazdu. Wielkim wysiłkiem woli zrobiona lista rzeczy do zabrania. Ostatnie zakupy. Więcej termicznej bielizny (organizator przestrzegał nas przed upałami 35+ stopni). Kolejne cienkie rękawiczki. Trudne decyzje, czy wziąć dopakować deszczówkę, co organizator rekomendował (ale po co mam tak dociążyć bagaż? Przecież jadę na Saharę w upały a zimno ma być tylko przez pół godziny na jednej

przetęczy...) Kalkulacje, ile kupić euro, żeby wymienić na lokalną walutę. Kupno cukierków dla biednych afrykańskich dzieci na postojach. Regularne rozkminy, co mam wozić w kufrze motocykla, a co w walizce w wozie serwisowym. Ile wziąć koszulek, majtek, spodenek na czas kiedy będziemy zwiedzać na piechotę. Lęki, jak zniosę takie wielkie upały w kombinezonie. A może zabrać jeszcze lekką meszową kurtkę? A czy nie będę już z nią miał nadbagażu? A czy w drodze powrotnej zmieści się oliwa? I żeby nie zapomnieć paszportu, bo przecież płyniemy poza Unię. I do tego jeszcze „pomoc” Iwonki podczas pakowania. „Ta koszulka jest już sprana i nieelegancka. Ja bym na twoim miejscu spakowała jakąś inną. Tą koszulkę trzeba jeszcze doprasować. Czy będziesz miał miejsce w walizce, żeby przywieźć z Hiszpanii oliwę? A w ogóle to wszystkie walizki są pouszkodzane, chodź, idziemy, kupię ci nową”. No więc zakup nowej walizki wieczorem przed wylotem, kiedy byłem już w zasadzie spakowany 😊. Przepakowanie. „Tak tak, Kochanie, nowa walizka jest super”. Kolejna kontrola, czy wszystko spakowane. Do tego Maciej, Mistrz Chaosu i Zmian Planów wymyślający, że bez sensu jest nocować w Maladze i czekać na grupę. „Załatwmy sobie od razu transfer do Manilvy i dodatkowy nocleg tam, będziemy mieć dzień na rozgrzewkę na motocyklach, tam są fajne góry”. Zmiana planów. Na noc przed wylotem byłem już diabło zmęczony tą wyprawą, chociaż się jeszcze nie rozpoczęła. Na szczęście kilka dni wcześniej zacząłem powoli łąpać ekscytację zbliżającą się podróżą, bo gdyby nie to, to bym chyba wyszedł z domu „po gazetę”, co w naszej małżeńskiej gwarze oznacza wyjście bez chęci powrotu 😊.

## 9 października 2024, Warszawa – Malaga – Manilva

---

W końcu nadchodzi dzień „zero”. Iwonka specjalnie zostaje w domu, żeby mnie odwieźć na lotnisku. Kochana jest ta żona. Postanawiam wyjechać kwadrans wcześniej i jeszcze dokupić trochę euro. W kantorze dostaję sms – lot opóźniony co najmniej 2 godziny, ale linia lotnicza życzy sobie, żeby na odprawie stawić się zgodnie z harmonogramem. Szlag niech to trafi, zapowiadają się cudowne dwie godziny nudów na Okęciu. Czułe pożegnanie z Iwonką na „Kiss&Fly”. Maciek jest na lotnisku chwilę przede mną i zajmuje miejsce w kolejce do odprawy bagażowej. Przyjechał prosto z pogrzebu. A właściwie z jego pierwszej części, czyli ze mszy w kościele. I nie przyjechał, tylko też go żona przywiozła. Jego, nie moja. W samochodzie zorientował się, że zgubił telefon. Chyba w kościele. Wracają z Karoliną. Kościół zamknięty. Szukają kościelnego. Telefon rzeczywiście grzecznie leży na ławce.

Startujemy z 2,5-godzinnym opóźnieniem i z takim samym lądujemy późnym wieczorem w Maladze.



Na szczęście zorganizowany przez MotoEspana kierowca czeka na nas i w iście wariackim tempie dowozi nas na kwaterę do Manilvy. Moje doświadczenia z dwóch wcześniejszych wizyt w Hiszpanii są takie, że raczej nie przekracza się tam dopuszczalnych prędkości na autostradach. Kierowca grzeje jednak regularnie 160-170 km/h i łamaną angielszczyzną z szelmowskim uśmiechem wyjaśnia, że pracował kilka lat w Niemczech i przywykł do tamtejszych autostrad bez ograniczeń prędkości.

W Manilvie poznaję naszych organizatorów i opiekunów na czas wyprawy – Mateusza i Tomka. Zamawiamy coś do jedzenia, po piwie i dosiadamy się do ich stolika. Jest z nami jeszcze jedna postać. Marcin, ratownik medyczny. Jego motocykl przyjechał z Polski razem z naszymi. Ale Marcin nie będzie uczestnikiem naszej wyprawy. Wyjeżdża sam jutro rano (my pojutrze, bo jesteśmy dzień przed resztą grupy) i ma plan przejechać swoim moto przez całą Afrykę do Kapsztadu w RPA. Bez niczyjej pomocy, serwisu. Szacun połączone z niedowierzaniem. Ale rzeczywiście, wygląda na twardziela, którego byle niepowodzenie nie ruszy. Zaczynamy się też przyglądać prognozom pogody. A z nich wynika, że w Afryce nie będzie nam ani sucho, ani gorąco, za to prawie każdego dnia możemy spodziewać się opadów deszczu. Czyli jednak dobrze (jak zawsze zresztą), że skonsultowałem się przed wylotem z wahadkiem i moim Wyższym Ja i jednak spakowałem deszczówkę oraz zrezygnowałem z meszowej kurtki. Co prawda wypieram te prognozy (nie, to niemożliwe, może popada w porcie w Tangerze, bo to nad morzem jeszcze, ale potem to już na pewno będzie sucho i gorąco), jednak rzeczywistość pokaże, że Wyższe Ja wiedziało lepiej.

Po kolacji i pogawędkach idziemy spać. Nocujemy w apartamencie, dwie sypialnie z salonem, kuchnią i dwiema łazienkami. Dziś jesteśmy tu sami, jutro mają dołączyć jeszcze dwie osoby z grupy, która przyleci z Krakowa.



W nocy budzę się w pokoju sam. Okazuje się, że Maciek nie mógł znieść mojego chrapania (nawet pomimo zatyczek w uszach) i przeniósł się do salonu na kanapę. Sugeruje też, że raczej będzie się starał w kolejnych miejscowościach dopłacać za osobny pokój, żeby mieć ciszę. Na początku budzą się we mnie jakieś stare lęki. Moje chrapanie było wszak dużym problemem w dwóch związkach, jakie miałem przed małżeństwem z Iwonką i ta sytuacja od razu wywołuje we mnie poczucie winy. Leżę więc na łóżku nie mogąc usnąć i wiercę się z boku na bok. W końcu jednak udaje mi się wejść w medytację, wyciszyć i złapać dystans. To jest w końcu problem Maćka, nie mój. Nie będę zatruwał sobie wyjazdu nie moimi problemami i „brał” ich na siebie. W końcu dawno temu uprzedzałem go, że chrapię, wiedział, na co się pisze. A ja i tak od czasów romansu z pewną Moniką zrobiłem dużo, aby chrapać mniej.

## 10 października 2024, Manilva – Gaucin – Ronda – Manilva

---

Rano budzę się prawie całkiem spokojny. Rozmawiamy z Maćkiem. On sam przyznaje, że to on ma problem, że jest w ogóle mało socjalny i że po prostu chce mieć w podróży pokój na wyłączność, jeśli to tylko będzie możliwe. Rzucam mu propozycję, że ok, w takim razie podzielimy te dodatkowe koszty osobnych pokoi na pół i niech każdy cieszy się luksusem. Mnie to w sumie też jest na rękę; co prawda jestem istotą zdecydowanie bardziej społeczną od Macieja, ale ostatnio najbardziej brakuje mi czasu na bycie samemu z sobą. Wyszło to nawet podczas ostatniego przeglądu mapy marzeń, że za mało czasu przeznaczam sam sobie. Traktuję więc tą sytuację jako okazję do poprawy tego aspektu mojego bytu na Ziemi.

Po śniadaniu idziemy odwiedzić nasze motocykle, odebrać torby z ciuchami i przepakować się. Mateusz podsyła nam trasę do zrobienia na rozgrzewkę, do miasteczka Ronda w górach. Widziałem je wielokrotnie na zdjęciach, niestety podczas pobytu w Andaluzji z Iwonką, Igą i Jaśkiem 3 lata temu nie zdążyliśmy tam dojechać, więc bardzo się cieszę, że tym razem ją odwiedzę. Przebieramy się i ruszamy. Ta trasa to jest moje drugie praktyczne spotkanie z górami na motocyklu. Jestem motocyklistą zaledwie czwarty sezon, a jedyne górskie doświadczenie to 3 dni w Bieszczadach rok temu. Jedziemy lokalną, najkrótszą trasą, jest kręto i miejscami w dodatku asfalt dość sfatygowany, że dwa razy uskoczyło mi tylne koło, więc jadę lekko spięty i bardzo

zachowawczo. Dojeżdżamy do uroczego miasteczka Gaucin (które natychmiast zaczynamy w żartach spolszczać w wymowie: gaćcin 😊), pełnego wąskich, krętych, jednokierunkowych uliczek. Robimy sobie postój na kawę w małym, lokalnym barze.



Jest super. Temperatura 22-24 stopnie, lekkie zachmurzenie, uśmiechnięci ludzie dokoła. Kawa przepyszna. Maciek doradza mi, jak siedzieć w zakrętach, żeby czuć się w nich pewniej – dosiadać jak najbliżej przodu siodełka żeby dociążyć przednie koło i wychylać do środka i do przodu wewnętrzne biodro oraz tułów. Pilnuję tego potem i rzeczywiście, pewność siebie oraz średnia prędkość zdecydowanie mi wzrastają. Zwłaszcza gdy jednocześnie pilnuję, aby nie usztywniać łokci. W ogóle podczas tej podróży jazda po górach będzie dla mnie „motywem przewodnim” i okazją do samoobserwacji tego, jak kondycja chwili wpływa na styl jazdy, jak ważne jest wyłączenie myślenia i straszenia się tym, co się może za chwilę wydarzyć. I obserwacja jest taka, że najpewniej czuję się w górskich zakrętach, kiedy łącznie spełniam trzy warunki: patrzę daleko przed siebie, mam rozluźnione ciało (zwłaszcza łokcie) i nie myślę o tym, co robić tylko po prostu jadę. Wtedy same pojawiają się automatyzmy ćwiczone na szkoleniach i po prostu płynę sobie drogą. I były takie fragmenty podróży, że rzeczywiście czułem to flow i poczucie jedności z motocyklem (oraz zaufanie że on sam wcale nie ma ochoty się wywalić). Ale też potrafiłem się z byle powodu spiąć i przez kolejnych kilkanaście zakrętów popętniać błędy i jechać jak sztywny zombie.

Po krótkim popasie w Gaucinie dosiedliśmy znów naszych rumaków i za niedługo dojechaliśmy do Rondy. Przejechaliśmy przez słynny, pocztówkowy most, główną atrakcję miasteczka. Zaparkowaliśmy motocykle kawalek dalej. Natychmiast pojawił się przy nas policjant, który z uśmiechem wytłumaczył, że tu parkować nie wolno i wskazał nam drogę na najbliższy parking dla motocykli, jakieś 300 metrów dalej. Zostawiliśmy kaski w kufrach i ruszyliśmy na piesze zwiedzanie.





Maciek zajął jeszcze do lokalnego banku, gdyż jako Mistrz Chaosu nie ogarnął wypłaty euro w Polsce i musiał zasilić się gotówką. Oddał mi 50 euro długu za transfer z lotniska, schował resztę gotówki do portfela, poszliśmy na kolejną kawę i churrosy, a potem ruszyliśmy w drogę powrotną słynną drogą A-397 z Rondy do Marbelli, która jest Mekką lokalnych motocyklistów. Bardzo kręta, ale o klasę lepsza od lokalnej trasy przez Gaucin, szersza. Zatrzymaliśmy się tam w kultowej restauracji dla motocyklistów Venta el Madrono, „must have” do zaliczenia w Andaluzji. Jej kultowość wynika chyba z faktu, że jest przy tej drodze jedyna – mały barak przy żwirowym parkingu, bez gastronomicznego sztafu. Ale podobno w weekendy zjawiają się tam tłumy i obserwują kozaków bijących rekordy prędkości na najbliższej serpentynie. My byliśmy w czwartek, było więc pusto – i w knajpce, i na drodze. Po kilkunastu minutach zjechaliśmy więc do Marbelli, gdzie zjedliśmy lunch, a następnie najkrótszą drogą wróciliśmy do Manilvy. Na miejscu okazało się, że lot naszej grupy też jest spóźniony i można się ich będzie spodziewać około 22:00. Poszliśmy więc na spacer nad morze, położyliśmy oraz wypiliśmy po drinku w jednej z licznych knajpek przy marinie.



Wieczorem usiedliśmy przy barze w naszym hotelu wraz z Mateuszem i Tomkiem z MotoEspaña, czekając na przyjazd reszty grupy. W końcu nastąpił ten najazd rozwrzeszczanej i przeważnie mocno pijanej hordy. Po powitaniu, poznaniu się i wymianie kilku zwyczajowych warszawsko-śląskich uprzejmości Mateusz zarządził wczesny wyjazd o 7:30 rano. Rozeszliśmy się więc po pokojach. Do naszego apartamentu dołączyła para Angela i Piotr. Angela, jak się potem okazało, największa wiedźma tego wyjazdu. Ale o tym będzie dalej 😊

## 11 października 2024. Manilva – Tanger-Med – Szafszawan (Chefchauen)

---

Rano karnie i punktualnie wyruszyliśmy w drogę i o wschodzie słońca zawitaliśmy do portu Algéciras. W instrukcjach przed podróżą Mateusz pisał nam jakoś tak: formalności po stronie hiszpańskiej idą bardzo szybko. Po marokańskiej już nieco dłużej. No chyba że postanowicie przewieźć alkohol, coś do palenia albo drona. Wtedy już bardzo długo. Nawet parę lat 😊 No i wszystko się sprawdziło. Szybka odprawa w Hiszpanii, a mimo to prom wypłynął spóźniony. W Maroko porwało to trochę dłużej. I celnicy bardzo wypytywali, czy aby na pewno nie mamy dronów. Okazuje się, że dobry dron jest w stanie „przeciągnąć” uchodźców przez Cieśninę Gibraltorską w sposób prawie niezauważony. Ale obyło się na szczęście bez komplikacji. Za to prom był pierwszą okazją, żeby przyjrzeć się bliżej członkom naszej ekipy, z którą byliśmy skazani na siebie przez najbliższe 8 dni. Łącznie było nas 14 osób: 4 pary, 4 singli i oraz Mateusz i Tomek – nasi przewodnicy i organizatorzy. Dla porządku powiążę jeszcze poszczególne osoby z motocyklami:

- Mariusz i Ewa na Triumphie
- Marek (zwany Maaksem) i Beti na Africe Twin
- Irek i Ewelina na Kawasaki Versys
- Piotr i Angela na dużym GS-ie

- Michał na Africe Twin
- Paweł na Yamaha Tenere
- Maciek na swoim BMW GS 850
- No i ja na Yamaha Tracer 7 GT
- Tomek, nasz przewodnik jechał na Moto-Gucci zwanym pieśczożliwie Gustawem.

Na promie udało się też zjeść śniadanko i popić dobrą kawą (w Maroko kawa wszędzie była dobra albo wysmienita). Śniadanie było bardzo urozmaicone. W promowej restauracji można było kupić kanapkę z tuńczykiem. Oraz kanapkę z tuńczykiem. A jak ktoś się bardzo uparł, to także kanapkę z tuńczykiem. 😊 Niezwykle bogaty wybór, doprawdy.

W porcie Tanger Med przywitał nas pierwszy deszcz. Wszyscy grzecznie poubierali się w deszczówki. Oprócz mnie. Wyczaitem na apce PogodaRadar, że deszcz jest przelotny i twardo postanowiłem się nie ubierać, zwłaszcza, że było ciepło. Okazało się to słuszną decyzją, deszczyk ustał praktycznie chwilę po opuszczeniu portu i jechałem komfortowo, parząc jak inni gotują się pod nieprzemakalną warstwą ortalionu. Ale zanim wyjechaliśmy z portu, zatrzymaliśmy się jeszcze, żeby wymienić euro na lokalną walutę. I tutaj pod kantorem Maciek z kwaśną miną spytał, czy może pamiętam, gdzie on chował pieniądze wczoraj w banku, bo w portfelu ich nie ma. Rozpoczęliśmy przeszukiwanie wszystkich potencjalnych miejsc i nic... - na dzień dobry mój Mistrz Chaosu zgubił ponad 500 euro. Więc dla niego wyprawa zaczęła się z niezłym przytupem. Ale że Maciek gubi coś często i regularnie, to przejął się tym chyba dość umiarkowanie, w sensie, dość szybko zaakceptował stratę.

Ten dzień był bardzo „lajtowy” jeśli chodzi o trasę. Do pokonania mieliśmy dystans około 120 kilometrów drogami krajowymi. Pogoda dobra, grupa dopiero się poznaje, wszyscy jadą uważnie, nikt nie szaleje. Drogi bardzo przyzwoite. Wóz serwisowy podąża za nami. Po drodze chyba jakiś jeden popas na szybką kawę i zdjęcie deszczówek. Jedyne, co mnie zaskakuje, to niezwykła ilość policji na drogach. Na skrzyżowaniach, przed większością miejscowości porobione zwężenia i ograniczenia prędkości, stoi po kilku policjantów (a może żandarmów, bo tych formacji policyjnych było tam kilka), często z fotoradarami. Zatrzymują pojazdy dość masowo. Ale, jak przekonamy się tego dnia i każdego następnego, motocykliści są na specjalnych prawach, na nich się tylko macha, żeby jechali dalej. Mateusz tłumaczył nam, że „duży” motocykl oznacza na 99% turystę, a Maroko dla turystów stara się być przyjazne. Po drodze przejeżdżamy przez niewysokie pasma górskie; w ogóle plenery są takie raczej andaluzyjskie. W końcu docieramy do pierwszego punktu naszej trasy, Błękitnego Miasta Szafszawan. Motocykle znajdują zamknięty plac pod samym uroczym hotelem Tarek, Maciek dostaje osobny pokój.



Robimy jeszcze jedno wspólne przeszukanie wszystkich jego bagaży, ale niestety, po euro ani śladu. W końcu zbieramy się i udajemy na zwiedzanie miasta i jego głównej atrakcji – medyny.

Szafszawan zawdzięcza swój przydomek błękitnego miasta temu, że większość domów ma elewacje pomalowane na niebiesko. I dodaje to miastu rzeczywiście swoistego uroku. A zwłaszcza na tle kolejnych brzydkich miast, przez które będziemy przejeżdżać albo je zwiedzać. Więc jest taką perłą. Medina jest urocza, wąskie, kręte uliczki, upstrzone kramami, straganami. Dość hałaśliwa, jak to arabskie miasta. Ma śliczne zautki, gdzie na tle błękitnych ścian kwitną kolorowe kwiaty. I jak na marokańskie miasto jest czyste i zadbane. Przemierzając te uliczki docieramy w końcu do bardzo eleganckiej restauracji, gdzie mamy zarezerwowaną kolację. Kolacja jest a la carte, każdy płaci za siebie. Ja bardzo nastawiałem się na próbowanie w podróży lokalnych specjałów (do których kupiona na promie kanapka z tuńczykiem zdecydowanie się nie zalicza). Zamawiam więc tajine (tagine, tażin) czyli specjalność kuchni marokańskiej po raz pierwszy. Tajine to danie

jednogarnkowe przygotowywane w specjalnym garnku; ma on kształt woka przykrytego wysoką pokrywką o kształcie czapki czarnoksiężnika. Danie przygotowuje się na ogniu i dusi się ono w tymże garnku. Dusić można różne rodzaje mięsa, warzywa, owoce, kaszę. Ja zdecydowałem się na tajine z drobiu, a wcześniej na ser kozi z miodem i orzechami. Ser jest absolutnie rewelacyjny. Tajine też jest smaczny, ciekawie przyprawiony, ale po znakomitej przystawce dupy nie urywa. Ani od razu, ani po jakimś czasie 😊. I pijam wszystko lampką lokalnego białego wina. Siedzimy z Maćkiem koło siebie, ale coraz bardziej nawiązujemy kontakt z resztą grupy. Po kolacji kontynuujemy zwiedzanie miasta. Idziemy krętymi uliczkami w górę medyny, dochodzimy do artystycznej alejki wzdłuż rzeczki. W rzece są stoiska do prania ubrań, a wzdłuż wystawy lokalnych artystów. Powoli robi się ciemno, co dodaje jeszcze medynie uroku, kiedy rozświetla się feerią chaotycznych świateł.





Spacer powoli się kończy, wracamy do hotelu. Mateusz anonsuje integrację na tarasie na dachu. Ja widzę, że śląska ekipa jest solidnie wyposażona w alkohol. Sam z kolei nie mam nic, miałem plan aby w muzulmańskim kraju, w którym co do zasady się nie pije, nie szukać na siłę okazji do kielicha. Poza tym jestem najwyczejniej zmęczony po emocjonującym dniu. Rezygnuję więc z integracji, idę do pokoju, biorę prysznic i spędzam kolejne dwie godziny z komputerem. Trochę robię porządku w sprawach biznesowych z dziś, ale głównie patrzę na wystane wcześniej przez Mateusza trasy na kolejne dni.

Rozmawiamy też z Iwonką. Usypiam wcześniej, chyba jakoś po 22, może przed 23. W środku nocy budzi mnie ćwierkanie telefonu. Mamy wszyscy założoną grupę na WhatsApp i Ewa koresponduje z Mateuszem, kto z nich ma jej i Mariusza paszport. No super, tylko dlatego o 3 rano? „Pochłaty się Ślązaki” myślę i za chwilę ze spokojem usypiam.

## 12 października 2024. Szafszawan – Fez

---

Rano rześki i wypoczęty melduję się na pierwszym marokańskim śniadaniu. Jest szwedzki bufet. Jak się okaże, we wszystkich kolejnych hotelach menu będzie bardzo zbliżone, tyle że czasem bogatsze, czasem uboższe. Tu jest z tych bogatszych. Są ze dwie lokalne wędliny, ser żółty w plastrach, wędzone oliwki, serek topiony, jajka na twardo, dżemy, miód. Świeży sok pomarańczowy, woda. Do tego chleb i naleśniki. Tylko kawa się skończyła; kelner mówi że „zaraz będzie” i faktycznie już po 20 minutach wjeżdża kolejny dzbanek. Nasza ekipa rzuca się na kawę z głośnym przekrzykiwaniem się, co wzbudza weselość obsługi. Zjadam po trochu wszystkiego; niestety teoretycznie najbezpieczniejsze jajko okazuje się „nie halo” – męczy mnie i leży mi na żołądku do wieczora. Za to przy śniadaniu wyjaśnia się tajemnica śródnocnych wiadomości. Okazuje się, że Mariusz źle się w nocy poczuł i wraz z Ewą i Mateuszem wylądowali w lokalnym ośrodku zdrowia. Silne bolesności brzucha, zwłaszcza z lewej strony. W lecznicy dostał środki przeciwbólowe które pomogły na 2-3 godziny, ale przy śniadaniu dowiadujemy się, że stan się znowu pogorszył i raczej nie ma szans, żeby Mariusz wsiadł na moto. Mateusz decyduje się więc uruchomić polisę, zgłasza szkodę do Signal Iduna. Maciek pomaga w formalnościach wykorzystując swoją perfekcyjną znajomość francuskiego i wiedzę ubezpieczeniową. A ja przypominam sobie, że w Signal Iduna za dział assistance opowiada Ola, moja dobra znajoma i żona starego kumpla. Pisze więc do niej sms z numerem szkody i prośbą o pomoc. Dostównie po kilku minutach dostaję od niej info zwrotne że nadała szkodzie status VIP, mamy się nie martwić i uzbroić w odrobinę cierpliwości. Potem od Mateusza i Ewy dowiemy się, że faktycznie Signal Iduna zadziałało niezwykle sprawnie. Ale na chwilę obecną Mateusz podejmuje decyzję, że Mariusz z Ewą zostają w hotelu ze swoim motocyklem i czekają na karetkę, a reszta ekipy z prawie godzinnym opóźnieniem wyrusza w głąb lądu, w stronę Fez.

Droga jest trochę spokojna, trochę nerwowa. Pejzaże zmienne, nieco równin, trochę niedużych pasm górskich. Dość często miejscowości i policyjne patrole. W miarę szybko orientuję się, że mam najmniejszą skłonność do zapierdalania (i pewnie też najmniejsze umiejętności), lubię zwolnić i porozglądać po okolicy. Bez problemu więc akceptuję, że staję się przedostatnim lub ostatnim motocyklem w zastępie. Jednak po jakimś czasie widzę, że Maciek zwalnia i daje mi sygnały, żebym go wyprzedził. Na najbliższym postoju pytam co się stało, mówi, że zorientował się, że zostaję z tyłu i celowo zjechał za mnie. „Nic się nie dzieje złego, po prostu jadę trochę wolniej” mówię. „Ale ja obiecałem Iwonce, że cię dowiozę do domu całego” odpowiada. Z jednej strony jest to miłe, że oboje się tak o mnie troszczą, z drugiej jednak łapię wkurwa o ten kompletnie niepotrzebny poziom kontroli nade mną. Nie jestem jakimś dzieckiem specjalnej troski i to, że półtora roku temu miałem zawał nie znaczy, że trzeba się obchodzić ze mną jak ze zgnitym jajem. Nie kontynuuję jednak dyskusji, gdyż na postoju głównym tematem jest, co z Mariuszem. Na

początku wszyscy mieli przypuszczenie, że może to być zatrucie pokarmowe – wczoraj na kolacji Mariusz jako jedyny zamówił baraninę. Jednak przestuchy, jakie dostajemy od Ewy są takie, że może to być zapalenie trzustki. Ruszamy dalej. Droga miejscami bardzo kręta. Z jednej strony trochę jestem zły o za duże moim zdaniem tempo, z drugiej jednak doceniam, jak Tomek jako przewodnik dba o nasze bezpieczeństwo. Na krętych odcinkach, gdy wyprzedzamy jakieś pojazdy, zjeżdża na przeciwległy pas ruchu i daje wyraźne sygnały, kiedy można wyprzedzać mimo ograniczonej widoczności, a kiedy „zamyka semafor” i sam zjeżdża na właściwy pas ruchu. Kolejny postój łąpiemy na płaskowyżu na punkcie widokowym Barrage Sidi Chaded z pięknym widokiem na dolinę i jezioro o tej samej nazwie.



Posilamy się świeżo wyciskanim sokiem z granatów, robimy sesję foto i ruszamy dalej. Przed nami jeszcze 30-40 km do Fez. I wreszcie robi się gorąco – termometry pokazują 26-28 stopni ciepła. Dojeżdżamy pod Fez. Mamy noclegi w hotelu na przedmieściach, jakaś bardzo przyzwoita lokalna sieciówka z dobrym, strzeżonym parkingiem dla naszych motocykli. Maciek dogaduje się z Mateuszem, że dopóki Mariusz z Ewą nie wrócą do nas, Maciek zajmie ich pokój i jakoś podzielią kosztami między sobą. Pokoje są zabawne. Osobnym pomieszczeniem jest kabina prysznicowa, do której wchodzi się przez przeszkłone, mleczne drzwi. Ale sama umywalka, półka, lustro i ręczniki są bezpośrednio w pokoju. Przy wejściu znajdują się drugie drewniane drzwi, wyglądające jak drzwi od szafy. Po ich otwarciu okazuje się, że za nimi znajduje się kibełek z oświetleniem uruchamianym czujką ruchu. Ale jest czysto, schludnie, takie uczciwe trzy gwiazdki. Kolejnym etapem jest zwiedzanie Fez, do którego jednak udamy się taksówkami. Podobno tamtejsza medina jest tak skomplikowana, że jeszcze żaden kartograf nie odwzorował skutecznie jej plątaniny ulic. Mapy Google ponoć poddają się bardzo szybko i głupieją. Dlatego też mamy w planach wycieczkę z przewodnikiem, połączoną ze zwiedzaniem lokalnej garbarni. Póki co jednak mamy ponad dwie godziny wolnego, a okazuje się, że nasz hotel znajduje się vis-a-vis jakiegoś dużego centrum handlowego. Więc u wszystkich uczestników pojawia się chęć udania do supermarketu, aby odnowić zapasy picia,

chipsów i innych podobnych świństw. No i w oczach narodu widać nadzieję: a może będzie piwo?

Do marketu udajemy się w różnych podgrupach; Maciek podjechał motocyklem, ja poszedłem na piechotę w towarzystwie Angeli i Piotrka. W markecie jest wszystko czego nam potrzeba. Oprócz alkoholu. Wdaję się w rozmowę z kasjerką i trochę po angielsku, trochę po francusku ustaliam, że alkoholu tu nie ma. Jedyne Carrefour w centrum miasta ma stoisko z alkoholami. Wracamy więc z pozostałymi zakupami do hotelu, siadamy większą grupą przy stolikach pod wejściem. Tutaj docierają do nas kolejne wieści o Mariuszu i Ewie. I nie są one dobre. Zostali przewiezieni z Szafszawan do Tetouan do większego szpitala. Czyli w stronę dokładnie przeciwną niż my pojechaliśmy. Ewa z emocji załamała w szpitalu, straciła w przytomność i w efekcie oboje zostali hospitalizowani na badania i obserwację.

Po nas w końcu przyjeżdżają taksówki. Dwie rozsypujące się Dacie, ale bez problemu zabierają 11 osób (Mateusz zostaje w hotelu aby koordynować pomoc dla naszych chorych, a reszta grupy wyrusza z Tomkiem na zwiedzanie). Po około 20 minutach jazdy taksówkarze wysadzają nas... gdzieś. Za moment jednak zjawia się umówiony lokalny przewodnik, który zabiera nas do garbarni na obrzeżach medyny. Na wejściu każdy dostaje todyżkę z liśćmi mięty. Do oddychania poprzez nie, bo tam podobno strasznie śmierdzi. Ja twardo odmawiam. Zapach, rzeczywiście przyjemny nie jest, ale też bez przesady, idzie wytrzymać. Wchodzimy na jakiś taras, z którego przewodnik pokazuje nam z góry fabrykę skóry. Rzeczywiście, gliniane zbiorniki, w których skórę się najpierw dezynfekuje i wyprawia, a potem farbuje, robią ciekawe wrażenie. Zwłaszcza kadzie z farbami, których widok na tle szaroburych ścian jest niezwykły.



Potem musimy przejść jeszcze przez kilka pięter sklepu z wyrobami z tej garbarni. Jest tam wszystko, co ze skóry można zrobić, kurtki, spodnie, spódnice, kombinezony, torby, torebki, paski, portfele, gadżety... I tłum nachalnych sprzedawców. Jakoś jednak przedzieramy się przez kolejne sale i tylnym wyjściem przez mroczny korytarz wychodzimy do wnętrza medyny. Którą następnie zwiedzamy przez dobre dwie godziny. Doświadczenie

ićcie absurdalne. Nie ma ona w sobie nic z uroku błękitnej medyny Szafszawan. Jest brudno, śmierci i gówna walają się po ulicach (ilość węsających się kotów i psów jest olbrzymia), śmierdzi. W zaułkach i znikających uliczkach rzeczywiście pogubić się łatwo. Tłumy ludzi. Ilość budynków wartych zatrzymania się, sfotografowania itp. do policzenia na palcach jednej dłoni.

Zaliczamy obowiązkową wizytę w lokalnej drogerii – i to jest już całkiem przyjemne przeżycie. Młody chłopak zatrudniony tam jako sprzedawca ma rzeczywiście gadane i z wielkim talentem wciska nam lokalne wyroby – maści, kremy, olejki, wyroby naturalnej medycyny, przyprawy oraz „dżiga-dżiga”, czyli tutejszą naturalną viagrę, którą Michał bierze „dla kolegi z Polski”. Jednak sam lokal jest ładny, do prezentacji siadamy na specjalnych ławkach, można zamówić lokalną herbatę.



Po zakupach „zwiedzania” ciąg dalszy, tyle że tym razem już po zmroku. W końcu docieramy pod jedną z głównych bram (i turystycznych atrakcji) medyny; tam przewodnik nas opuszcza, a my możemy skosztować zachwalanego wcześniej przez Mateusza lokalnego street food-u. Co oznacza w praktyce, że Tomek zaciąga nas do jednej knajpki, gdzie możemy zamówić piętę z lokalnym farszem. Wołowym, drobiowym albo mieszanym. Oraz coca-colę. Oraz dyskretnie podawane w nieprzezroczystych kubkach piwo ze schowka na poddaszu.



Ja się decyduję na colę. Maciek z braku opcji wege strzela focha i idzie szukać żarcia gdzie indziej. Moja porcja jest okej, taki smaczny marokański kebab. Siedzimy, gadamy, oglądamy mecz reprezentacji Maroko z Republiką Środkowoafrykańską. Potem taksówki zabierają nas z powrotem do hotelu. Znowu wybieramy się do lokalnego centrum handlowego, decydując się na zakup pewnej ilości piw bezalkoholowych. Siadamy następnie przed hotelem; jak się okazuje, nasza śląska ekipa ma dalej dużo własnego alkoholu. Odmawiam degustacji, siedzimy z godzinę, atmosfera miła, jednak w końcu przegania nas deszcz. Prysznic, rozmowa z Iwonką przez Messengera, przestanie zdjęć Idze, Iwonce i Jaśkowi i grzecznie idę spać. Mój plan picia alkoholu jak rasowy muzułmanin na razie idzie dobrze. Wczoraj kieliszek wina. Dzisiaj nic. Usypiam w bardzo wygodnym łóżku.

### 13 października 2024. Fez – Ziz

---

Przez większą część nocy padało, nad Fez przetoczyła się też burza. Jednak poranek jest pogodny. Ponieważ w hotelu restauracja jest w remoncie, na śniadanie idziemy do pobliskiej lokalnej kawiarni. Śniadanie jest serwowane i jest podobnie na bogato jak wczoraj w Szafszawan. I kawa bez ograniczeń, aromatyczna i pyszna. Najedzeni i w doskonałych humorach wyjeżdżamy w stronę przełęczy Ziz. Planowany dystans na dzisiaj to około 300 km. Na początek jeszcze na przedmieściach Fez o mało nie zaliczam gleby – jezdnie są śliskie po nocnych ulewach, na rondzie stoi woda, zbyt mocno dodaję gazu zjeżdżając z ronda i łapię mocny uślizg tylnego koła. Na szczęście wszystko kończy się dobrze, ale ja jadę przez to dość spięty. Po drodze mijamy Ifrane – narciarski resort w sercu Maroko. Robi się dość chłodno – chwilami temperatura wynosi około 12 stopni. Za Ifrane mamy zaplanowany postój na parkingu, na którym serwują „najpyszniejszą kawę w Maroko”. Jednak okazuje się, że kampera z kawą nie ma, jedziemy więc kawatek dalej i tam zatrzymujemy się na kawę w miasteczku.



Po drodze dochodzi też do pierwszego konfliktu w grupie. Najpierw Michał, po nim Maaks z Beti, a potem cała reszta, zatrzymują się, żeby się przebrać, w związku ze zmianami temperatury. Tomek traci więc kontakt z grupą, zawraca i pół żartem, ale bardziej serio urządza awanturę, że grupa się go nie słucha. Michał, główny obiekt ataku, obraca to w żart.

Za Ifrane wyraźnie zmienia się już pejzaż. Do tej pory mijaliśmy średnio duże pasma górskie, jednak równiny pomiędzy nimi miały rolniczy charakter. Gaje oliwne, plantacje, gdzieś tam wschodziła ozimina. Teraz krajobraz wyraźnie spustynniał, ziemia stała się jałowa. I zarazem widoki prześliczne, gdy na horyzoncie pojawiały się płaskowyże o niemal pionowych skałach, a szara kolorystyka stawiała się coraz bardziej brązowo-piaskowa. Dojechaliśmy do dużej stacji benzynowej. Przed nami zostało około 30 kilometrów wjazdu na przetęcz Ziz.



Po krótkiej podróży dojechaliśmy do miejsca naszego kolejnego noclegu, kasby Hotel Camping Jurrasique. Typowego miejsca pośrodku niczego. Kasba położona tuż przy drodze, ale z dala od wszystkiego. Surowe górskie widoki, surowy, skromny lokal, jakże odmienny od wygodnych hoteli w Szafszawan i Fez. Do naszej dyspozycji gospodarz oddał pawilon z siedmioma identycznymi pokojami. Po raz kolejny, dzięki zabiegom Maćka, mogłem nocować sam. Pokój był bardzo surowy, jeśli chodzi o wystrój, za to z dużym

tarasem z widokiem na koryto rzeki i górskie stoki tuż za nim. Naprawdę niezwykle miejsce.



Po kilkunastu minutach na pozostawienie bagaży Mateusz zabrał nas kilkanaście kilometrów dalej, na punkt widokowy na przelęczu. Spędziliśmy tam dobre pół godziny na robieniu zdjęć, gdyż surowe górskie widoki były naprawdę zachwycające. Atlas Średni, jeśli nie ma akurat żadnej dolinki z oazą, jest praktycznie pozbawiony roślinności, nie ma śniegu, a góry, choć może nie przesadnie wysokie, robią wrażenie przez jednolitą kolorystykę o żółto-brązowo-czerwonych odcieniach od podstawy aż do szczytów.



Po zjechaniu do kasby poszliśmy z Maćkiem na mały spacer. Kasba jest ulokowana pomiędzy drogą a doliną rzeki, zeszliśmy sobie na coś w rodzaju żużlowej plaży. Nurt rzeki był wąski, płytki, praktycznie można było przejść na drugi brzeg. Połaziliśmy chwilę po okolicy, po czym poszliśmy na uroczystą kolację. Kasba składa się z kilku budynków mieszkalnych, więc poza nami było sporo innych gości. Mieliśmy jednak zarezerwowany osobny stół dla całej grupy. Kolacja była tradycyjna – marokańskie pieczywo, naleśniki z wytrawnym serem i wędzonymi oliwkami, no i oczywiście znakomity tajin (znacznie lepszy niż w restauracji w Szafszawan). Mateusz zebrał też wcześniej zamówienia w grupie, dzięki czemu mogliśmy cieszyć się kupionym specjalnie dla nas przez gospodarza piwem. Zwłaszcza, że śląskiej ekipie chyba kończył się już zabran z Europy alkohol, a i ja sam miałem wyraźną ochotę, żeby się zrelaksować. Kolacji towarzyszyły występy bębniarsko-

wokalne lokalnych artystów, którzy bardzo starali się wkręcać turystów we wspólną zabawę.



Przy tej okazji zgadaliśmy się z Maaksem – obaj mamy doświadczenia w grze na perkusji. Wieczór był więc bardzo sympatyczny i jedyne, co psuło nastrój, to fatalne prognozy pogody na kolejny dzień. A ja też zacząłem łąpać jakieś pierwsze syndromy przeziębienia. Na szczęście w pokoju był zapas ciepłych kocy, dzięki czemu dobrze wygrzałem się w nocy.

## 14 października 2024, Ziz – Merzouga

---

W nocy na niebie rozpętało się piekło i nadeszła potworna ulewa. Kiedy rano szum nie ustawał, a zorientowałem się, że deszcz chwilowo nie pada, wyrząłem na taras i nie mogłem uwierzyć własnym oczom – wczorajszy leniwy strumyk był dziś szeroką, rozlaną na kilkanaście metrów wartką rzeką, sptywającą z dużą prędkością w dół koryta.





Podczas śniadania deszcz rozpadał się ponownie, upału też nie było, może ze 14-16 stopni. Do przejechania mieliśmy około 200 kilometrów, jednak prognozy były fatalne. Do wyboru mieliśmy wyjechać teraz w strugach wściekłego deszczu i jechać z nadzieją, że za jakiś czas wściekła ulewa stanie się ulewą zwykłą, albo poczekać aż ulewa wściekła stanie się ulewą zwykłą, wyjechać i wkrótce spotkać kolejną falę ulewy wściekłej. Cytując klasyka: tak czy owak – Zenon Nowak. Jakby się człowiek nie obrócił, dupę będzie miał z tyłu i kopa w nią dostanie. Po krótkiej naradzie wyjechaliśmy więc od razu, aby jak najszybciej dojechać do Merzougi, gdzie miało już nie padać, i dać sobie więcej czasu na wyschnięcie. Podróż była koszmarem. Przez najbliższe 60 kilometrów jechaliśmy w strugach deszczu. A zjeżdżaliśmy z przełęczy, więc podróż górską. W tych regionach Maroko deszcze są rzadkością, więc nikt nie projektuje dróg tak, aby odprowadzały dobrze wodę. Woda stała więc w ogromnych kałużach. Sama, albo z błotem spłyniętym jezorami z gór, na tyle długimi, że przecinały drogę na całej jej szerokości. Miejscami z gór sphywala lawina kamieni, które wały się po asfalcie. Co zakręt, to niespodzianka. Zjechaliśmy do miejscowości Ar-Raszidijja i potem Tazenakht. Zrobiło się prościej i równiej – ale nie lepiej. Jakość asfaltu w miasteczkach jest z reguły gorsza niż w trasie, tu dziur było co niemiara, w dodatku przykrytych wodą. Do tego zrobił się spory ruch i jadące z naprzeciwka ciężarówki zlewały nas strumieniami wody spod kół od kasku po buty. W końcu zrobiliśmy postój na jakimś „mopie”, aby chociaż trochę rozgrzać się kawą. Widok objawił się nam niezwykle. Znajdowaliśmy się na skraju jakiegoś ogromnego płaskowyżu. Pod nami, w dolinie widniał Kanion Ziz. Zieleniata olbrzymia oaza, a zboczem płaskowyżu wita się zakosami droga w dół, do owej oazy właśnie. Za oazą zaś widniały kolejne górskie pasma.



Po krótkim popasie wyruszyliśmy więc drogą w dół. I wreszcie Matka Ziemia zlitowała się nad nami. Deszcz ustał a droga, okazało się, wyplaszczyła się i omijając okoliczne wzgórza niemal po linii prostej poprowadziła nas na południowy wschód w kierunku Sahary. Temperatura podniosła się do ponad 20 stopni, a pustynny wiatr pozwalał nam przeschnąć. Czułem, jak stan mojego ducha podnosi się, uśmiech wykwił mi na twarzy, raz ze względu na poprawę aury, a dwa z uwagi na coraz bardziej niezwykle, pustynne pejzaże. Uchyliłem kask i delektowałem się powiewem ciepłego i suchego powietrza. I tak oto dojechaliśmy do Merzougi, miasteczka na pustyni, które historycznie było bazą dla rajdu Dakar. Ale rajd upadł z uwagi na niebezpieczną okolicę (pogranicze marokańsko-algierskie to stan ciągłego stanu wojennego), infrastruktura została rozkradziona lub zdewastowana, a miasteczko utrzymuje się z turystyki dzięki pobliskiej olbrzymiej Złotej Wydmie, która była pierwszym fragmentem pustyni piaszczystej, jakiego doświadczyliśmy w tej podróży. (Wcześniejsze regiony pustynne miały raczej kamiennogliniany charakter). Podjechaliśmy pod nasz hotel – kasbę. Niestety, ostatnie 200 metrów nie było już asfaltu i trzeba było przejechać świeżymi błotnymi koleinami na hotelowy parking. Coś zajebistego dla mojej absolutnie szosowej Yamahy. Jednak podczas porannej ulewy mnie włączyło się coś w rodzaju trybu nieśmiertelności. Poczuję, że skoro przeżyłem ten etap, to już nic podczas tej podróży mnie nie zabije. Ani nie zrani. Ani nie wyrzuci. Ani nijak inaczej nie uszkodzi. Mój motocyklizm wskoczył na jakiś nowy level. W myśl nie do końca słusznej, ale klasycznej zasady „jedyna, dwójka i gazu od chuja” bez cienia lęku przebrnąłem przez bagno na bezmyślnym autopilocie i wylądowałem na parking. Zaświeciło słońce. Wszęła tęcza. A dalszą podróż spędzałem już w stanie oślego zachwytu i wdzięczności do Wszechświata i Matki Ziemi za wszystko, czego doświadczam, nawet jeśli pojawiały się w trasie niebezpieczne albo niemiłe sytuacje.

Złapałem dystans, pewność siebie i wiarę, że jestem na prostej wznoszącej do szczęścia i absolutu.



Ale póki co, trzeba było zaczekować się w hotelu i wysuszyć ciuchy. Hotel, w porównaniu z kasbą w Ziz, był absolutnym szczytem luksusu. Stylizowany na mauryjski zamek, z pięknymi pokojami, wewnętrznymi dziedzińcami, basenem, bezpośrednim wyjściem na Złotą Wydmę.

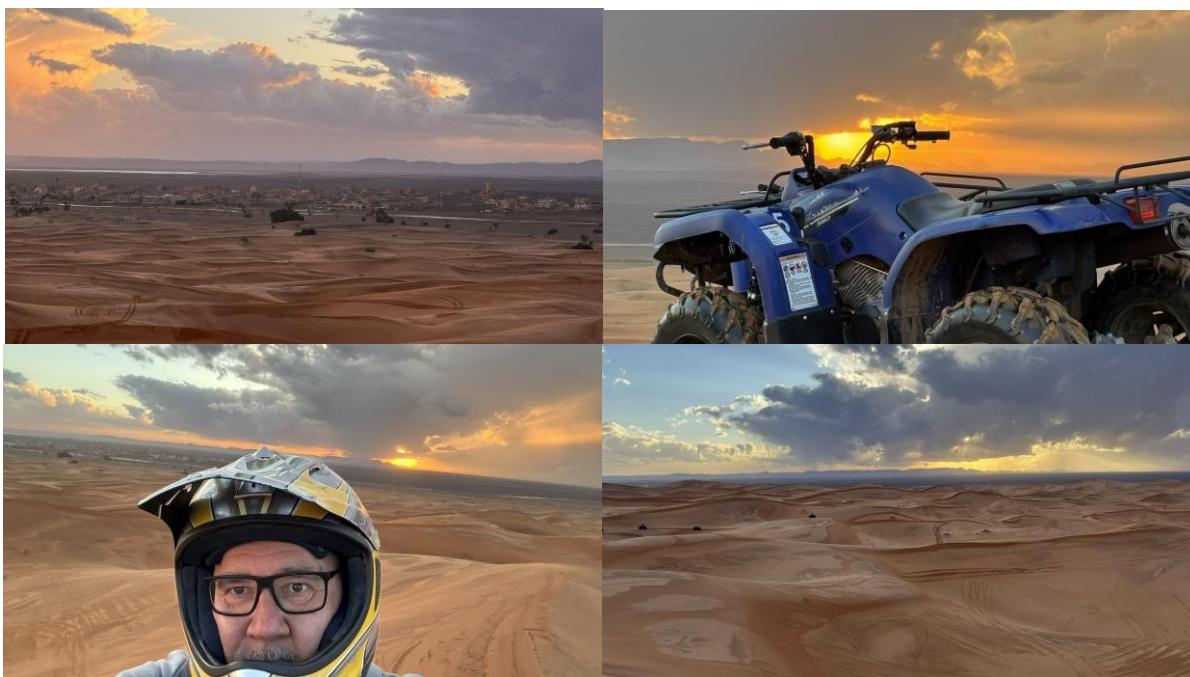


Podszedł do mnie Michał z prośbą, abym na jedną noc odstąpił mu swój jednoosobowy pokój i spał razem z jego współlokatorem Pawłem. Bo Paweł chrapie tak, że Michał spać nie może i chciałby jedną noc odespać. No a niby dlaczego miałbym się nie zgodzić, skoro jestem niezniszczalny i absolutnie szczęśliwy? Szybko więc dogaduję się z Pawłem co do zasad naszej współzystencji, ogarniam się w pokoju, rozkładam mokre rzeczy na dziedzińcu (jak wszyscy), biorę ciepły prysznic i jestem gotów na nową przygodę. Paweł okazuje się trochę specyficznym, ale bardzo sympatycznym facetem. Przez lata był w zarządzie jednej ze spółek petrochemicznych, dużo przeszedł w życiu i zawodowo i prywatnie, dużo i ciekawie opowiada, miło się z nim gawędzi. Potrafi cieszyć się życiem i żyć tak, jakby jutra miało nie być. A co do chrapania – znam gorszych 😊 Tymczasem okazuje się, że mamy ponad 3 godziny wolnego, bo potem w planach jest wyjazd autami ADV i quadami na wydmę na zachód słońca i kolacja. Idziemy więc całą ekipą z hotelu do centrum Merzougi coś zjeść i kupić jakieś lokalne pamiątki.



Wczesnym wieczorem przyjeżdża po nas pikap, aby zabrać nas do wypożyczalni pojazdów pustynnych. Męska część ekipy wskakuje na pakę, ja wraz kobietami do kabiny (no co ja poradzę, tak wyszło). Plan wyprawy jest taki, że jeździmy w ADV po 2 osoby, jedna prowadzi auto na zachód słońca, na wydmie zmiana i druga powozi z powrotem. Uzgadniamy z Maćkiem, że ja jadę, on wraca. Ruszamy. Nasz przewodnik jest jak naćpany, prowadzi zastęp jak wściekły. Ja po kilku spokojnych minutach „tapię żytkę” i doświadczam istnego szaleństwa goniąc go. Po prostu ekstaza. Wjeżdżamy na szczyt wydmy. Widoki jak z innej planety. Magia na niebie – pełnia księżyca, zachodzące słońce, delikatne obłoki, niebo przechodzące z błękitu przez purpurę w fiolet i bordo. Ja, Wyższe ja i Dusza jesteśmy zachwyceni. Rozum chyba też, bo udowodnił sobie, że coś co wyglądało strasznie (zap... po wydmach, wcześniejsza jazda po Krainie Deszczowców) jest do przeżycia.





Na szczycie Maciek komunikuje mi, że on nie chce prowadzić, „bo się kiedyś wywalił na skuterze śnieżnym i ma uraz”. I taki jakiś zielonkawy jest na tle czerwieni. No okej, dla mnie tym lepiej. Piaskowego szaleństwa kolejne pół godziny. Po zachodzie słońca gwałtownie robi się zimno. Ja na szczęście mam na sobie bluzę, ale Maciek w samym t-shirt i krótkich spodenkach jest wyraźnie zmarznięty. Proponuję mu, aby na drogę powrotną wsiadł do kabiny pikapa, a ja pójdę na pakę. „Nie, to nic nie da. Nie da się już bardziej zmarznąć” - chojraczy i pakuje się na pakę. Po kilku minutach dojeżdżamy do hotelu. Zanim rozejdziemy się po pokojach, podejdzie do mnie i powie „Wiesz, jednak można było zmarznąć na pace jeszcze bardziej”. No cóż, ma facet nowe doświadczenie 😊 Spotykamy się wkrótce na kolacji. Jest elegancka, znowu królują różne odmiany tajine. No i jest jak zawsze smacznie. Trzy butelki lokalnego czerwonego wina na całą ekipę sprawiają, że kładziemy się spać w wyśmienitych nastrojach. A przynajmniej ja. Tego wieczora czuje naprawdę wielką radość i wdzięczność, że zdecydowałem się na tą wyprawę, odważyłem na nią, że jestem tu, gdzie jestem, doświadczam tego ogromu nowych wrażeń i nowych sytuacji.

## 15 października 2024. Merzouga - Ait Bin Haddou

---

Śniadanie – pyszne, obfite i bardzo urozmaicone. Za to newsy raczej słabe. Wczoraj doszła do nas wiadomość, że u Mariusza zdiagnozowali kamienie nerkowe. Wczoraj mieli ich z Ewą wypuścić ze szpitala i odwieźć do Szafszawan. Mateusz wymyślił im trasę na skrót, tak, aby mogli dotrzeć do nas w Rabacie. Dziś z kolei mamy bardzo złe wiadomości drogowe. Z Merzougi do Ait Bin Haddou wiodą dwie drogi i obie wczoraj były zamknięte z powodu ulew, jakie przetaczają się nad regionem. Tego dnia mamy zaplanowany najdłuższy dzienny odcinek – około 470 km. No i nie wiadomo, którą jechać, czy dziś którąś z nich otworzą. Maciek szuka jakiegoś serwisu informacyjnego po francusku no i wynika z niego, że drogi zamknięte są dalej. Mateusz decyduje, że pojedziemy szlakiem

północnym, przez Arfud. W najgorszym razie bliżej będzie z niego dołożyć kolejne 80-100 km przez Ar-Raszidiję i Atlas Średni. Maciek wygląda nie najlepiej, mówi mi, że ma kryzys dzisiaj. Ale ruszamy wszyscy wcześniej niż zawsze, tankujemy i jedziemy do Arfudu, z którego kierujemy się drogą R702 na Tinghir.

Tuż za Arfudem, a może jeszcze na przedmieściach, staje się to, co się miało stać – droga zamknięta. Patrol Żandarmerii Królewskiej zawraca wszystkie pojazdy przed nami. Na wąskiej drodze z trudem wykręca jakiś kamper, za nim ekipa motocyklistów podobna do naszej. Pozdrawiamy się LwG, ale widać, że chłopaki miny mają smutne. My jednak twardo stoimy w korku i gdy przychodzi nasz czas, podjeżdżamy do patrolu żandarmerii. Maciek robi za tłumacza. Młody żandarm cierpliwie wyjaśnia, że nie może nas puścić dalej, bo droga jest w fatalnym stanie i jazda byłaby dla nas niebezpieczna. No ale przecież Polak nie odpuści... Po kilku minutach Tomek i Mateusz przekonują żandarma, że chcieliby podejść i obejrzeć tą drogę na własne oczy. Żandarm zgadza się, ale pozwala podejść tylko na piechotę. Chłopaki idą i po niedługim czasie wracają z dość smutnymi minami. Według ich tłumaczeń woda wydrążyła dziurę pod asfaltem na całej szerokości drogi – pod masą bitumiczną nie ma praktycznie nic, wisi ona w powietrzu. Może motocyklem dałoby się zaryzykować, ale nasz bus z bagażami na pewno nie przejedzie, nie ma szans, aby droga go utrzymała. Do grupy dołącza jednak jakiś tubylec, który proponuje, że może przeprowadzić nas okrężną drogą przez gaje oliwne i wyjedziemy zaraz za uszkodzoną drogą. Żandarm kręci z dezaprobatą głową tłumacząc, że nawet jeśli objedziemy tą przeszkodę, to za 25 kilometrów „jest jeszcze gorzej”. W końcu jednak wyraża zgodę, tubylec wsiada do busa z Mateuszem, zawracamy i ruszamy po kolei za nimi. Droga jest niezła, w sensie jedziemy po betonowych płytach, nie po błotnistym szutrze. Co chyba szczególnie cieszy Tomka, który zaliczył spektakularną glebę dziś rano na piaszczysto-błotnym stumetrowym łączniku od hotelu do drogi przez Merzougę. Ale niestety natychmiast wpadamy w jakąś głęboką kałużę. Czuję, że moje buty błyskawicznie nabierają wody. Rewelacja... Po jakichś dziesięciu minutach wracamy na główny szlak, przewodnik inkasuje równowartość 20 euro w lokalnej walucie (jak twierdzi, do podziału pół na pół z żandarmem), a my ruszamy dalej w nieznaną. I faktycznie, za około 25 km pojawia się kolejna przeszkoda. Przed nami po prostu woda przelewa się przez drogę. Po bliższych oględzinach okazuje się, że to coś przed nami jest mostem, przez który rzeka przelewa się górą. Wody na oko po pół tydki, miejscami trochę więcej. Marokańska młodzież biega po tym rozlewisku, markując przepychanie nielicznych samochodów, które próbują przebyć w bród tą przeszkodę. Zatrzymujemy się na naradę z Mateuszem, co robić dalej. Tymczasem Tomek rusza i powoli przejeżdża na drugi brzeg rozlewiska, zawraca i przejeżdża z powrotem do nas. Po krótkiej dyskusji zapada decyzja: próbujemy wszyscy przejechać wplaw, ale jeśli ktoś się boi to pakujemy jego motocykl na busa i transportujemy na drugą stronę. Finalnie nikt nie wymięka, jedziemy jeden za drugim na pierwszym biegu i starając się ominąć „pomocnych” lokalesów.



Na drugim brzegu zaczyna się miasteczko, zbieramy się pod najbliższym barem i ruszamy dalej; (żeby nie powiedzieć wręcz, że ewakuujemy się pod naporem lokalnej młodzieży, która bardzo chce podotykać motocykle, porzkręcać manetki gazu na maksa i inne takie przyjemności), dalej, gdzie... jest jeszcze gorzej. Całe miasteczko jest praktycznie podtopione, drogę widzimy „o tyle o ile”, a droga, w przeciwieństwie do mostu, okazuje się mocno dziurawa. Na szczęście zaraz za miasteczkiem wszystko wraca do normy i możemy, po krótkim popasie na kawę, kontynuować podróż. Towarzyszą nam cały czas ciekawe, pustynne pejzaże, pozbawione roślinności niewysokie pagórki, bieda-wioski. I tak mijają nam kolejne kilometry, aż docieramy do miasta Tinghir. Zaskakuje mnie ono swym wyglądem – jest czyste i uporządkowane, mimo, że jesteśmy na dalekim południu, wygląda wręcz europejsko – równe kwartały domów, szerokie proste aleje, chodniki. Jak dla mnie zupełnie nie przypomina chaotycznej zabudowy Fez czy Szafszawan. Na jednej z prostych wyprzedza wszystkich Maciek, który jechał cały czas jako jeden z ostatnich i zatrzymuje Tomka. Zjeżdżamy na jakiś parking przy stacji benzynowej. Maciek zgłasza, że bardzo źle się czuje i nie jest w stanie jechać dalej. Dziewczyny z ekipy momentalnie przeglądają swoje bagaże i faszują go wszystkimi możliwymi środkami przeciwbólowymi i przeciwgorączkowymi; w tym samym czasie Mateusz z Tomkiem pakują mu motocykl na busa. Ruszamy więc dalej w ograniczonym składzie. W kolejnym większym miasteczku (Tamellalt albo Tarmouchte) zjeżdżamy na północ z głównej drogi N10 na lokalną R704, aby spotkać się z jedną z zaplanowanych na dziś atrakcji – przełęczą Dades Gorges. Do tej pory, po przeprawie przez zalany most czułem się świetnie, podobnie jak wczoraj włączyło mi się poczucie niezniszczalności. Teraz jednak zaczęło wychodzić zmęczenie, a ja zacząłem się spinać. Droga pod górę była okropna. Praktycznie

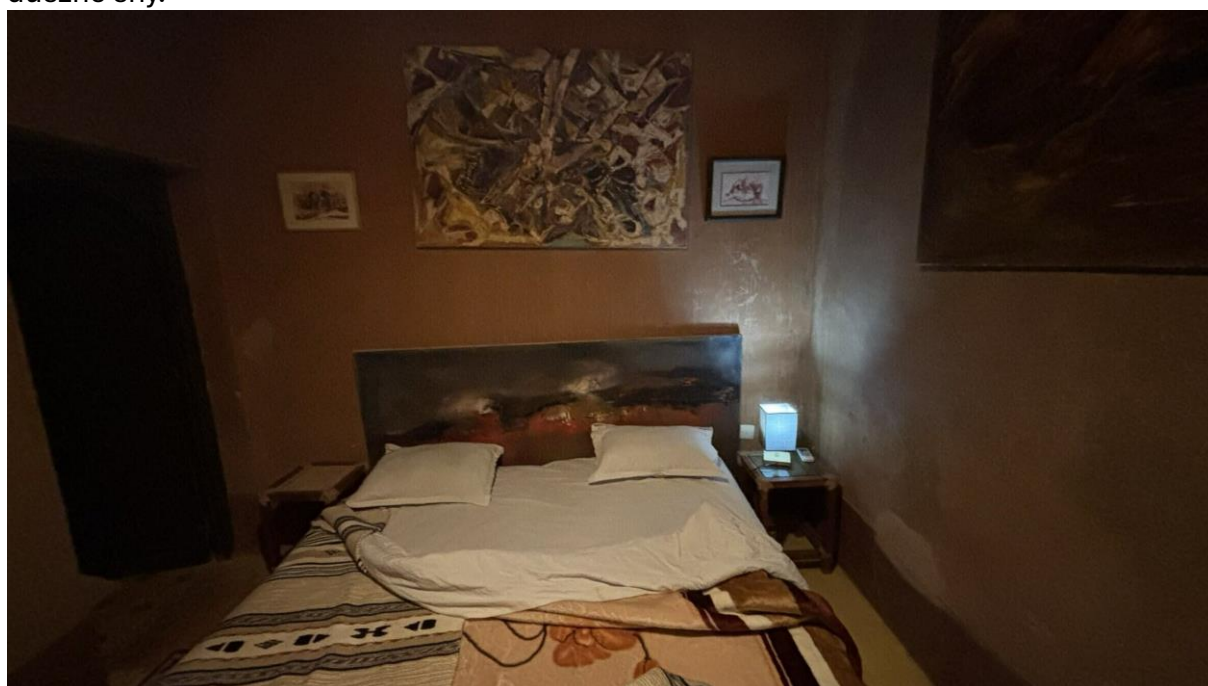
na każdym zakręcie czaiła się albo plama błota, albo rozsypany żużel, albo przynajmniej kałuża. Spinałem się i wkurwiałem coraz bardziej, tym bardziej że byliśmy chyba w sporym niedoczasy w stosunku do planów i Tomku włączył się gen zapierdalania, zostawałem więc coraz bardziej z tyłu. W dodatku dzwonią do mnie na zmianę Maciek i Mateusz. Telefon odpiął mi się od zestawu w kasku, więc nie mogę odebrać, a warunki drogowe nie dają mi szans na połączenie. I tak minęło jakieś 25 kilometrów, z czego ostatnie 1-2 to był już bardzo strony i wąski podjazd z agrafkami 180 stopni. Na agrafkach byłem już tak spięty, że na każdym zakręcie w prawo wyrzucało mnie na lewą krawędź drogi. Na szczęście nikt nie jechał z naprzeciwka, bo nie wiem, jak by się to skończyło. Jednak widoki na przełęczy zrekompensowały męczarnie i w moją duszę znowu wlało się ciepłe światło.

A widoki są naprawdę niezwykle. Surowe, nagie skały. Nad nami prawie nie ma już gór, pod nami głęboki kanion, w którym hen na dole płynie rzeka. Głębokie przepaście. Dość monochromatyczne barwy – gliniastobrązowe skały, nad nią szarość chmur, na szczęście na tyle wysokich, że nie ograniczają widoczności. Wszystko ma w sobie coś z grozy, majestatu, ale też swego rodzaju smutku. Robimy jakieś pierdyliardy zdjęć, zjadamy ciepły posiłek w barze na przełęczy i ruszamy tą samą drogą w dół.



Po posiłku i odpoczynku czuję się znowu lepiej, i choć droga teoretycznie trudniejsza, bo w dół, to znoszę ją dużo lepiej. A właściwie znowu załącza mi się poczucie, że nic mnie tu

nie złamie i nie uszkodzi. W miasteczku zatrzymujemy się na jakiejś stacji benzynowej, gdzie spotykamy się z powrotem z bussem z Maćkiem i Mateuszem. Maciek nafaszerowany prochami czuje się jakby lepiej, ale postanawia jechać dalej w busie. Ruszamy i po dalszej, dość już monotonnej podróży (chwilami tradycyjnie ciut za szybkiej, ale mi to już chyba nic nie robi) dojeżdżamy do miasta Warzazat, zwanego marokańskim Hollywood. Miasto słynie z licznych studiów filmowych, z których korzystają zachodni producenci filmów. Bez postoju, po prostu przejeżdżamy obrzeżami miasta, które wygląda bardzo nowocześnie i dostatnio. Mijamy lotnisko, ogrodzone wysokim murem, nad którym widzę ogon kołującego Ryanaira. Mijamy dostatnie domy, szerokie aleje, wygodne skrzyżowania, nawet w pewnej chwili przejeżdżamy koło sklepu monopolowego działającego w trybie 24/7. Zapada mrok. Za Warzazat droga staje się znowu bardziej kręta. W końcu po kolejnych 30-40 minutach w już bardziej odczuwalanym chłdzie docieramy do miasteczka, a może wioski Ait Bin Haddou, gdzie zostajemy na nocleg. Na miejscu czeka na nas garaż. Mateusz przyjechał bussem przed nami i okazało się, że nasze bagaże są już wypakowane i przetransportowane do kasby, w której będziemy mieszkać. Idziemy więc w świetle latarek z telefonów przez jakieś błotniste, śmierdzące uliczki do budynku, który Mateusz zachwala jako 500-letni zamek, w którym lokalny artysta prowadzi świetnie notowany na Booking.com hotelik. Rzeczywiście, zmiana scenografii jest niezwykła – po obrzydliwym zewnątrz wita nas przytulne, kolorowe wnętrze, pełne obrazów, arabskich ozdób, przedmiotów, gadżetów. Bagaże czekają w holu, a wystrojony „a la lokalna Cepelia” uśmiechnięty gospodarz z pomocnikiem rozprowadzają nas po pokojach. Mój pokój jest malutki i ciemny, prawie całą powierzchnię zajmuje duże łóżko. Na drugim końcu jest równie ciemna i zimna łazienka. Ja czuję, że mnie też zaczyna łąpać jakieś przeziębienie. W dodatku uruchamia mi się duchowy system ostrzegawczy, że w pokoju mieszka jakaś niedobra energia. I rzeczywiście, śpię tam bardzo źle, męczą mnie jakieś duszne sny.





Potem, już w domu, ze trzy tygodnie później, przy okazji jednego z oczyszczeń SRT odkrywam, że przykleiły się tam do mnie jakieś ciemne energie. Ale to później. Na razie biorę ciepły prysznic, tykam prewencyjnie aspirynę i schodzę na kolację. Atmosfera jest bardzo miła, a serwowane dania – przepyszne. Tagine który tam jem okaże się najlepszy z całej podróży. Alkoholu tym razem zero. Dla Maćka przygotowany jest osobny tagine wege, jednak Maćka przeziębienie i kryzys zmogły na tyle, że nie schodzi ze swojego pokoju na kolację, tylko odsypia dotychczasowy wysiłek. W kolacji cały czas towarzyszy nam syn gospodarza – około 10-letni Sulejman. O dziwo, przy stole z nami siedzi tylko on, chociaż w domu są jeszcze jego rodzice i siostra. Bardzo jest to dla mnie zastanawiające, czemu pełni taką rolę. (Moja ciekawość staje się tym większa później, gdy podczas oczyszczania odkrywam, że to Sulejman był transmitterem złej energii, jaka się do mnie w tym domu przykleiła). Po kolacji dość szybko rozchodzimy się po pokojach. Nie ma w ogóle Wi-Fi ani sieci GSP, nie jestem więc w stanie złapać żadnego kontaktu, ani z Iwonką, ani z resztą świata. A kilka dni temu postanowiłem sobie, że będę codziennie wysyłał fotorelację Iwonce, Idze i Jaśkowi i od Fez udawało mi się to prawie zawsze. Ale tutaj nie ma na to szans. Usypiam więc dość szybko, chociaż, jak wspomniałem, noc pomimo zmęczenia jest ciężka, dręczą mnie nerwowe sny, budzę się kilka razy.

## 16 października 2024. Ait Bin Haddou – Marakesz

---

Poranne śniadanie jest równie smaczne jak wieczorna kolacja. Sulejman dostaje ode mnie dużą torebkę cukierków z zaleceniem, żeby podzielił się nimi z siostrą. Hotelowa służba transportuje nam bagaże do garażu, pakujemy się i ruszamy dalej. Maciek z powrotem dosiada swoją BMW. Za dnia wszystko jest ładniejsze – błoto nie takie straszne, pogoda znośna (znaczy nie pada), 500-letnia kasba nawet robi ciekawe wrażenie. Przy drodze jest zasięg, mogę więc złapać kontakt z rodziną, że żyją, że wszystko jest ok i wysłać trochę zdjęć z wczoraj. Dziś naszym przewodnikiem jest Mateusz. Wczoraj, kiedy

wyjeżdżaliśmy z Merzougi, mieliśmy do pokonania około 100-150 metrów z hotelu do szosy po rozmokniętej szutrówce. Tomek postanowił popisać się swoją techniką jazdy, ale wyszło mu to na tyle niefortunnie, że złapał poślizg w błocie i bardzo spektakularnie wypierdolił się, nakrywając się Gustawem. No i okazało się, że poturbował się na tyle mocno, że nie był dzisiaj w stanie dosiąść Gustawa, tylko nafaszerowany środkami przeciwbólowymi przejął prowadzenie busa. Po kilku minutach dotarliśmy do głównej części miasteczka, położonej nad wyschniętym korytem rzeki. To miasteczko grało w różnych filmowych produkcjach, najbardziej znane jest z tego, że kręcono tam „Gladiatora” (tego pierwszego, z Russelem Crowe). Zostawiamy motocykle przy głównej ulicy, idziemy uliczkami przez most, na drugą stronę rzeki, a następnie wspinamy się uliczkami na wzgórze, na którym znajdują się ruiny zamku. Część z nas (w tym ja) odpuszcza wspinaczkę na samą górę, zostajemy na tarasie widokowym. Na którym delectowalibyśmy się ciekawymi widokami, gdyby nie to, że znowu zaczęło padać.



Na szczęście była to drobna mżawka. Po tym zwiedzaniu ruszamy na południe. Za około 20-30 minut docieramy do kolejnej atrakcji naszej wycieczki – opuszczonej stacji benzynowej, która grała w „Gangu Dzikich Wieprzy” oraz horrorze „Wzgórza Mają Oczy”. Stacja jest rzeczywiście obłądna. Jest zagrodzona (ale lokales za opłatą wpuszcza nas do środka), stoją tam wraki samochodów z lat 50-tych i 60-tych. Wokół góry. Plenery zupełnie jak z amerykańskich filmów drogi.



Kręcimy się, robimy mnóstwo zdjęć, po czym jedziemy dalej. Drogą na północ, w kierunku Marrakeszu. Wkrótce wjeżdżamy znowu w wysokie góry. Na krótkim postoju Mateusz ogłasza, że rozbijamy szyk grupowy i każdy na własną rękę i w swoim tempie jedzie, aż spotkamy się na szczycie przetęczy na parkingu, którego „nie da się przeoczyć”. I faktycznie, po bardzo krętej wspinaczkę, na zupełnym luzie, w swoim tempie, docieram do stacji Tizi N’Tichka. Jest to najwyżej położona przetęcza w Maroku, na wysokości 2260 m n.p.m. Miejsce wygląda smutno i ponuro. Po bogatych okolicach Warzazat, tu jest znowu enklawa biedy. Na szczycie przetęczy jest duży parking otoczony mocno zniszczonymi budynkami, tworzącymi coś w rodzaju centrum handlowego. Kilka budynków jest opuszczonych i wieje z nich pustka przez wybite okna. Poza tym są 2 czy 3 knajpki i kilka sklepików z pamiątkami. Robimy sobie okolicznościowe zdjęcia i idziemy napić się kawy. Lokalesi są tu wyjątkowo naprzykrzający się – chcą wymusić zakup lokalnych pamiątek lamentując, że bieda, mają dużo dzieci na utrzymaniu, jak nic nie sprzedadzą to nie zarobią i będą głodować. Co gorsza, te lamenty wyglądają szczerze. Ich namawianie na zakupy nie przypomina zupełnie arabskiego stylu targowania się, jaki poznałem wcześniej w Tunezji i Egipcie, czy widziałem kilka dni temu w Fez. Ci tutaj naprawdę mają jakiś taki smutek i rezygnację w oczach. Odjeżdżam bez pamiątek za to z dużym uczuciem ulgi, że opuszczam to miejsce.



Kolejny odcinek drogi jest bardzo trudny – zjeżdżamy z przetęczy, niby każdy dalej w swoim tempie, ale grupa rozpada się zupełnie. Jest duży ruch w obie strony, stromo i kręto, ciężko jest wyprzedzić jadące sobie niemal na zderzaku samochody, wśród których bardzo dużo jest ciężarówek. Spinam się znowu, przez co czuję, że moja efektywność w zakrętach spada. Nie czuję się bezpiecznie, jednak przychodzi moment, w którym stres ustępuje swoistej rezygnacji, zjeżdżam trochę jak zombie z nastawieniem, że co ma być, to będzie. Oczywiście taki stan sprawia, że przestaję myśleć o technice jazdy, w wyniku czego ta naturalnie się poprawia. Na jakimś punkcie widokowym łapiemy się wszyscy z powrotem w grupę i dalej przez równinę spokojnie dojeżdżamy na przedmieścia Marrakeszu. Droga, im bliżej miasta, tym staje się znosu elegantsza. Natomiast charakterystyczną cechą dróg w Maroku są wszechobecne rondo, wymagające dużej koncentracji – głównie z powodu niepisanej zasady „trąbię więc mam pierwszeństwo”, która na ogół zastępuje lokalny kodeks drogowy. Choć jest to zasada raczej bezpieczna – przez całą podróż widziałem jedną czy dwie niegroźne stłuczki. Przed samym Marrakeszem zjeżdżamy na lokalną drogę i dojeżdżamy do hotelu utrzymanego w typowym stylu resortów w kurortach turystycznych – wielki, ogrodzony teren, na nim rozporozszone piętrowe kasby, baseny, bary... Po dotychczasowych noclegach, zwłaszcza ostatnim, czuję się jak w turystycznym raj. Po raz kolejny dostajemy z Maćkiem osobne pokoje (korzystamy z nieobecności

chorych Ewy i Mariusza). Pokój jest olbrzymi, „jakby luksusowy”, w afrykańskim kolonialnym stylu, z olbrzymią łazienką wyposażoną w równie olbrzymią wannę.



I pogoda jest dobra – niebo niebieskie i ze 25 stopni ciepła. No i mamy sporo ponad 3 godziny do zaplanowanego transferu, który zabierze nas do centrum Marrakeszu. Biorę więc szybką ciepłą kąpiel i udaje się do restauracji. Zamawiam jakąś ciepłą kanapkę na lunch. I piwo. Albo wino. Albo jedno i drugie 😊 Sukcesywnie schodzi się tam cała ekipa, niektórzy nawet korzystają z zewnętrznego basenu, chociaż zgodnie przyznają, że woda jakby lodowata. Kiedy przyjeżdżają zamówione taksówki, w cudownych nastrojach udajemy się na zwiedzanie Marrakeszu.

Marrakesz to zdecydowanie najmniej godne polecenia miejsce podczas całej tej wyprawy. Mateusz wysadza nas z taksówek pod meczetem Koutoubia, który według jego opinii wraz z sąsiadującą medyną jest główną atrakcją miasta. Idziemy więc z Maćkiem do owej mediny (plac Jemaa el fna) po jakieś zakupy. I to jest miejsce absolutnie okropne. Hałas straszliwy. Głośnie muzyka nakładająca się z różnych straganów i głośników. Zaklinacze zestresowanych i otępiatych węży. Mnóstwo małpek w metalowych obrożach ciągnanych w brutalny sposób przez swoich „opiekunów”. Wrzaski tych biednych stworzeń. Tłok (choć podobno niezbyt duży jak na tamte realia). Medina taka, że w ułamku sekundy polubiłem tą z Fez. Bo tam przynajmniej nie było ruchu kołowego, a tutaj każdą wąską uliczką popierdziałały non stop skutery, spalinowe wózki, rowery i motorowery...



Dość szybko kupiliśmy z Maćkiem upominki, po czym znaleźliśmy przyzwoitą włoską knajpkę pod meczetem, gdzie przy pizzy i winku doczekaliśmy taksówek na powrót do hotelu. A w hotelu była jeszcze otwarta restauracja, więc udało mi się jeszcze pointegrować z grupą (Maciek, jak to miał we zwyczaju, bardzo szybko ulotnił się spać).

## 17 października 2024. Marakesz – Casablanca – Rabat

---

Następnego dnia, po kolejnym smacznym i sytym śniadaniu wyruszyliśmy w drogę. Pierwsza część podróży do Casablanki była kompletnie niegodna uwagi. Zaraz za Marakeszem wjechaliśmy na autostradę, którą płynnie i bezpiecznie przemierzaliśmy się na północ, aż na przedmieścia Casablanki. No i muszę przyznać, że wszystkie dotychczasowe przeżycia z jazdy motocyklem, przetęcze, serpentyny, ulewy, zalane mosty to jest naprawdę nic w porównaniu z przejazdem przez to miasto. Miejski surwiwał podczas przejazdu przez praktycznie całe miasto to dopiero było wyzwanie. Casablanka jest olbrzymia, ma ponad 3,5 miliona mieszkańców i jest bardzo zatłoczonym i ruchliwym miastem. Po którym jeździ się po arabsku. Jakim cudem udało nam się dojechać na wybrzeże pod meczet Hasana II całą grupą w komplecie, tego nie wiem. I raczej już nie odgadnę, jak to się mogło udać. Ale się udało. Hurra! 😊. Zaparkowaliśmy motocykle i poszliśmy nad brzeg oceanu, oglądać sam meczet i okoliczne widoki.





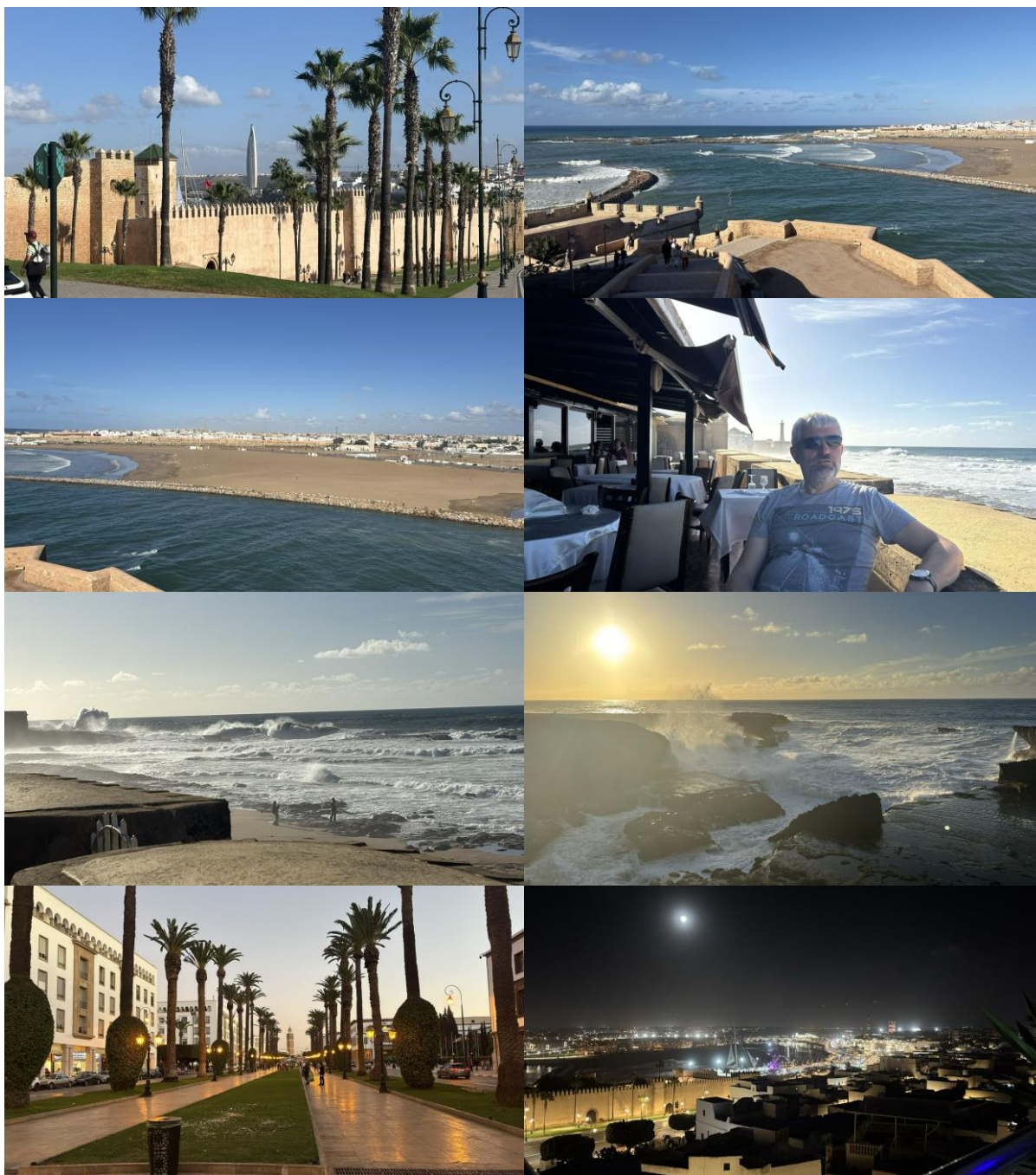
Moje główne wspomnienie z Casablanki to niedosyt. Spędziliśmy tam około godziny, a mam wrażenie, że można by tam spokojnie pobycić dwa dni – i byłoby co oglądać. Tak naprawdę całe nasze zwiedzanie sprowadziło się do obejścia meczetu Hassana II i sąsiadującego z nim bulwaru. Meczet robi wrażenie - jest olbrzymi, wystawny, bardzo proporcjonalnie zbudowany i pełen ozdobnych detali, ornamentów. Nawet nasze sanktuarium w Licheniu wygląda przy nim skromnie. Złoto, a skromnie 😊. Turystom nie wolno wchodzić do środka, chociaż Ewa i Mariusz, którzy byli tam chyba w odstępie godziny czasu od nas, bezceremonialnie weszli i zrobili mnóstwo zdjęć. Nasza grupa obeszła go tylko dokoła i poza tym wyjrzelśmy na bulwar nad oceanem. A okolica kusiała, żeby pójść gdzieś dalej - piękne, eleganckie aleje, mająca w oddali biała wieża - latarnia morska w porcie, wszystko to wykazywało niepowtarzalny charakter i urodę. Ta część miasta, którą zwiedzaliśmy, była zadbana i elegancka, jak żadne z arabskich miast, jakie miałem okazję obejrzeć do tej pory. Widać było dostatniość, rozmach, ład, urodę i jakiś ogólny architektoniczny zamysł. No i ten oceaniczny klimat, po tygodniu szwendania się po interiorze, zrobił na mnie niezwykle pozytywne wrażenie. Natomiast niestety Mateusz, który dzisiaj też był przewodnikiem, cisnął, żeby jak najszybciej jechać dalej do Rabatu. (Tomek pojechał busem prosto z Marrakeszu do Rabatu razem z Pawłem; tym razem to on wymiękł z powodu ataku bólu zęba i trzeba go było odwiedzić do kliniki). Wyruszyliśmy więc w dalszą podróż.

Trasa z Casablanki do Rabatu przypomina trochę nasze Trójmiasto - można jechać albo autostradą, albo miejskimi drogami przez mocno zurbanizowane tereny. Mateusz wybrał to drugie i zafundował nam jakiś absurdalny miejski rajd. Warte zauważenia jest to, że po drodze praktycznie każde skrzyżowanie było rondem, natomiast przejścia dla pieszych budowane były na podwyższonych szykanach. Wszystko po to, by spowalniać ruch. Natomiast my zapierdalaliśmy przez te zasieki jak wściekli przez około 80 km kompletnie bez sensu. Zwłaszcza, że gdy dojechaliśmy do naszego hotelu w Rabacie wczesnym popołudniem (było około piętnastej-szesnastej) Mateusz oznajmił, że na dziś nie ma żadnych wspólnych atrakcji, każdy zapewnia sobie jedzenie i zwiedzanie miasta na własną rękę. Zarówno ja, jak i Maciek byliśmy zdrowo podkurwieni, reszta towarzystwa na oko też. Przyjemnym akcentem było jednak to, że kilka minut po nas przyjechał Mariusz z Ewą. Mateusz przekazał nam jeszcze, że w Rabacie jest jeden duży Carefour który sprzedaje alkohol i jak chcemy, to możemy wieczorem spotkać się na tarasie na dachu hotelu. Po czym zniknął i nie objawił się do kolejnego dnia rano.

Hotel, podobnie jak w Marakeszu, był ładny, zadbany i też jakby luksusowy.



W Rabacie mieliśmy okazję przekonać się, jak działa “RODO a la marocaine”. Podczas check-in musieliśmy zostawić paszporty w recepcji. Kiedy po około pół godzinie zesliśmy z Maćkiem z naszych pokoi na dół, aby poszukać sobie jakiejś restauracji, paszporty całej grupy leżały niedbale na kontuarze. Po chwili zjawił się recepcjonista, wręczył całą kupkę paszportów Maćkowi mówiąc, żebyśmy wybrali sobie swoje i oddali mu resztę 😊😊😊. Wzięliśmy więc każdy po swoim, poznając przy okazji dokładne personalia naszych towarzyszy i towarzyszek podróży i ruszyliśmy w miasto. Bardzo ładne, podobnie jak Casablanca, ale - w przeciwieństwie do jej kolonialnego charakteru - sprawiające wrażenie bardzo nowoczesnego. Na początku przeszliśmy się przez historyczną część położoną na wzgórzu nad oceanem, po czym zesliśmy na dół i uliczką wzdłuż wybrzeża dotarliśmy do bardzo przyzwoicie wyglądającej restauracji nad samą plażą. Postanowiliśmy tam zjeść. Obsługa była “taka sobie” - kelner miał cokolwiek wyrąbane zarówno na szybkie podanie nam menu jak i przyjęcie potem zamówienia. Jednak posiłek i butelka białego wina zrekompensowały nam tą drobną niedogodność. Zestaw ryb i owoców morza był olbrzymi i przepyszny, a wino świetnie komponowało się zarówno z tym zestawem jak i huczącym na tarasie wiatrem znad wody.



Po posiłku udaliśmy się na dalszy spacer - według kelnera w Rabacie można kupić alkohol w każdym Carrefourze, wygooglaliśmy więc najbliższy (pół godziny z buta) i zagłębiliśmy się z nabrzeża w miejskie uliczki. Oczywiście opinia kelnera okazała się ściemą - jednak istnieje stoisko monopolowe tylko w jednym, największym Carrefourze w mieście, do którego wujek Google pokazywał kolejne 40 minut marszu. A ponieważ o drogę pytaliśmy na grupowym czacie Mateusza, natychmiast reszta grupy zwęszyła łatwy łup i poprosiła nas o grupowy zakup alko dla wszystkich.

Tuż przed docelowym marketem okazało się, że istnieje olbrzymi sklep tylko z alkoholami, co w Maroko jest naprawdę zjawiskiem niezwykłym. Zrobiliśmy tam więc zakupy i ja udałem się taksówką do hotelu z dwiema dużymi torbami pełnymi win i whisky, natomiast Maciek postanowił wrócić na piechotę. Wieczór skoczył się rzeczywiście integracją grupy

na hotelowym dachu. Zabrakło Mateusza i Pawła (który dogorywał w pokoju po wizycie u stomatologa, nafaszerowany środkami przeciwbólowymi), natomiast Tomek i Maciek wpadki tylko na chwilę. Ja wypłem butelkę czerwonego wina, miło pogadałem ze śląską ekipą, wymienialiśmy się wrażeniami z podróży z Mateuszem i Ewą, którzy jadąc na skróty z Szefszawan do Rabatu też zaliczyli parę interesujących miejsc. Po 22:00 rozeszliśmy się do pokoi spać.

## 18 października 2024. Rabat – Tanger-Med – Manilva

---

Po wczesnym śniadaniu zaliczyliśmy jeszcze z Maćkiem spacer nad zatoką i szybką kawę w lokalnej kafejce. Tego dnia nie działo się za wiele godnego opisanie. Celem było dojechanie do Tanger-Med tak, żeby nie spóźnić się na prom do Hiszpanii. Jechaliśmy więc autostradą z krótkim postojem na kawę. Plenery stawały się z powrotem coraz bardziej podobne do andaluzyjskich. Przez pewien czas równoległe do autostrady przebiegała linia kolejowa, na której z pewnym zdziwieniem zauważyłem, że jeżdżą pociągi dużych prędkości. Ale rzeczywiście atlantyckie wybrzeże Maroka to region bardzo bogaty i nowoczesny, kompletnie inny od interiorowej, saharyjskiej biedy.

Prom był chyba z godzinę spóźniony. Siedzieliśmy z Maćkiem na otwartym pokładzie czekając, kiedy uda się od płynąć i obserwując otoczenie. Sam prom był ciekawym zjawiskiem. Przewoźnik był firmą marokańską. Statek nazywał się Stena Star i jak sprawdziliśmy w Internetach, dwa lata wcześniej został przez Marokańczyków odkupiony od szwedzkiej Stena Line. Pływał pod banderą cypryjską, natomiast załoga była w zasadzie w 100% rosyjska. Takie to międzynarodowe klimaty. Podczas rejsu mogliśmy podziwiać niezwykle widok Skąty Gibraltarskiej, górującej nad cieśniną i całą okolicą. Trudno się dziwić Brytyjczykom, że nie chcą pozbyć się tego skrawka lądu, o co Hiszpania bardzo mocno zabiega. Kto ma Gibraltar, ten kontroluje cały ruch pomiędzy Morzem Śródziemnym a Atlantykiem. Jedna bateria dział załatwia temat.



Z portu Algeceiras ruszaliśmy do Manilvy praktycznie o zmierzchu. Droga nie była długa, jednak tym razem Tomkowi włączyło się takie zapierdalactwo, że praktycznie w połowie drogi grupa się rozpadła. Miejscem zbiórki był sklep spożywczy na zjeździe z “ekspresówki” w stronę naszego hotelu. I tam Mariusz urządził Tomkowi głośną, karczemną awanturę na oczach całej grupy. Za styl jazdy, bezsensowne ryzyko, nie trzymanie grupy w grupie. Tomek był najwyraźniej zdziwiony tym zachowaniem, ale Mariusz był najwyraźniej wyrazicielem myśli części grupy, gdyż kilka osób (w tym ja) pogratulowaliśmy mu tej aferki. Po paru minutach byliśmy już w hotelu. Podobnie jak na

początku zamieszkaliśmy w jednym apartamencie – ja, Maciek, Piotr i Angela. Podobnie jak na początku Maciek postanowił spać w salonie na kanapie, zostawiając mi pokój. Zjedliśmy we czwórkę kolację złożoną z zakupionych w markecie produktów, popiliśmy umiarkowanie alko. Epizod awantury, jaką wywołał Mariusz pod sklepem, nie był jednak jedynym zgrzytem tego wieczora. Mateusz przystał informację, że mamy oddać motocykle jutro do godziny 18:00 na załadunek, bo oni z Tomkiem zaraz potem ruszają do Polski. No a w planach wyjazdu miała być pożegnalna kolacja w knajpie przy plaży. W planach miała być też kolacja powitalna, w dniu, kiedy przylecieliśmy do Hiszpanii. Nie doszła do skutku z powodu opóźnień w lotach do Malagi – śląska grupa dotarła do hotelu około 23:00, więc imprezę powitalną trzeba było skasować z przyczyn obiektywnych. Jednak podobne skasowanie imprezy pożegnalnej chyba wszyscy potraktowali jako niezrozumiały foch Mateusza.

## 19 października 2024. Manilva – Ronda – Setenil de las Bodegas – Manilva

---

Wczoraj miałem jeszcze ambitny plan, że moja dupa nie spocznie dzisiaj na siodełku Yamahy choćby się waliło i paliło. Siedzę, odpoczywam, spaceruję, jak pogoda pozwoli to się wykąpię w morzu lub basenie... należy mi się relaks po trudach urlopu. Ale to było wczoraj. Dzisiaj rano większość grupy wyjechała zwiedzać Gibraltar. Zostaliśmy we czwórkę, z Angelą, Maćkiem i Piotrem. I tak od słowa do słowa wyszło, że może jednak trochę się ruszymy, pokażemy Piotrowi i Angeli szybką górską drogę do Rondy. No i stało się, pojechaliśmy. Zatrzymaliśmy się znowu w “kultowym” motocyklowym barze przy A-397.



Następnie przejechaliśmy przez Rondę (Piotr z Angelą o dziwo nie chcieli się zatrzymać i zwiedzać) i po kolejnych kilkudziesięciu kilometrach zajechaliśmy do słynącej z domów

pod skałami miejscowości Setenil da las Bodegas. Zostawiliśmy motocykle przy drodze i poszliśmy zwiedzać. Piotr z Angelą jednak szybko nas opuścili i pojechali na Gibraltar, a my z Maćkiem wylądowaliśmy w przedniej uliczce nad rzeką, z obłędnie wyglądającymi domami zbudowanymi pod nawisami skalnymi. W dodatku okazało się, że w miasteczku odbywa się festyn zwany Fiesta de Moros y Cristianos. Mieszkańcy byli poprzebierani za Maurów i hiszpańskich wojowników, panie w pięknych sukniach z epoki, te w strojach arabskich kręcące taniec brzucha. I kilka takich korowodów pieszo-konnych przechodziło wąską uliczką pomiędzy restauracyjnymi stolikami, tańcząc, śpiewając, grając muzykę.



Bardzo miła dla oka i ucha fiesta. Zjedliśmy małe tapasy, a następnie jakąś bardzo lokalną, bardzo krętą i niezwykle malowniczą drogą dojechaliśmy do Gaucina, skąd po kawie i ciachu wróciliśmy do Manilvy. Po drodze zrobiliśmy jeszcze zakupy na wyjazd – ja kupiłem dużo oliwy, sery i wcześniej upominki w jakiejś lokalnej cepelii w Setenil. Przepakowaliśmy bagaże i oddaliśmy motocykle Mateuszowi i Tomkowi, po czym zesliśmy nad morze, gdzie we dwóch zjedliśmy pożegnalną kolację. Wracając do apartamentu minęliśmy busa z przyczepą i zestawem motocykli – Mateusz z Tomkiem właśnie wyruszyli w podróż do Polski. Pożegnaliśmy się bardzo przyjaźnie. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że powodem ich pośpiechu był pogrzeb bliskiej osoby, na który Tomek chciał zdążyć do Polski.

20 października 2024. Manilva – Malaga – Warszawa

---

Dzień powrotu był dość nijaki. Pakowanie. Sprawdzanie czy mamy wszystko i nic nie brakuje. Ja złapałem ciąg na alko i mieszałem co chwilę piwo z kieliszkami wina. Każdy z nas osobno udał się do miasta, czyli na plażę. Ja spotkałem część ekipy śląskiej chlejącej nad morzem resztki alkoholu. Pogadałem z nimi, poszedłem w stronę centrum Manilvy. Spotkałem Maćka, wcześniej przyłapanego fotograficznie przez kogoś ze Ślązaków w konkretnym barze przy plaży. Poszliśmy coś zjeść. Wróciliśmy do apartamentu. Wyczekowaliśmy się i zasiedliśmy w barze czekając na transfer. Transfer przyjechał. Punktualnie. Na lotnisku w Maladze byliśmy o czasie. Rozdzieliliśmy się, każdy z nas w swoim rytmie zrobił zakupy i coś zjadł. I wypił. Przynajmniej ja. Na pokład samolotu wsiadałem już z lekkimi objawami kaca. Za sprawą Maćka wcześniej dopłaciliśmy do wygodniejszych miejsc przy wyjściu awaryjnym na skrzydle, więc podróż przebiegła nam całkiem komfortowo. Na lotnisku czekała Iwonka. Stęskniliśmy się za sobą, więc nasze powitanie było niezwykle czułe.



To była niezwykła przygoda. Mówi się o takich „przygoda życia”, ale ja celowo unikam takich sformułowań. Jeśli już, to powiem, że była to przygoda dotychczasowego życia. W sensie, zakładam, że wszystko lepsze jeszcze przede mną. To była naprawdę super wyprawa. Piękne widoki. Nowe doświadczenie fizyczne i psychiczne. Nowe relacje z

nowymi, w większości bardzo fajnymi ludźmi. Intensywna podróż w głąb siebie, zrozumienie swoich ograniczeń, pokazanie sobie, że ograniczenia są w głowie i jak się chce, to można je przetamać. Cudowna konfrontacja ze swoimi lękami. Bałem się afrykańskich upałów. Prosiłem Przewodników, żeby mi ich oszczędzili. Oszczędzili. W zamian zestali powodzie, chłody, ulewne deszcze. Czyli z perspektywy motocyklisty coś znacznie gorszego. Przeżyłem to. Czasem z wkurwem, ale na ogół z uśmiechem i świadomością, że mimo 55 lat ciągle mogę znieść dużo i to bez „zarzynania siebie”, ale z pogłębioną świadomością, że skoro coś mi się przytrafia trudnego, to po to, żebym coś zrozumiał, a nie po to, żebym zginął. Wiem, że jeśli coś podczas tego wyjazdu było niefajne, jeśli czegoś się bałem, jeśli moje myśli krążyły wokół lęków i „nie da się” – to była to tylko rozgrywka w mojej głowie. Pomiędzy logicznym rozumem, który nakazywał zdejmować rękę z manetki gazu „bo przecież to jest niebezpieczne” (nawet jeśli inni radzili sobie świetnie). Ego, które nie chciało być gorsze od innych i próbowało „wbijać mnie w ambicję”. Oraz duszą, która po prostu chciała się bawić, i dzięki temu, że pozwalałem jej chwilami zdominować całe to moje wewnętrzne stado, część podróży przebywałem w stanie niezwyklego flow, ogromnego zaufania do siebie i odkrywania, że ufając sobie jestem bezpieczniejszy niż strasząc się. Przejechałem ponad 2 tysiące kilometrów po Afryce i kolejne 400-500 po Hiszpanii. Bardzo ciekawie uświadomiłem sobie relację z Maćkiem. Jesteśmy bardzo, ale to bardzo różni. Nasza przyjaźń chwilami bywa bardzo szorstka. Ale jak by nie było, w kryzysowych sytuacjach możemy na siebie liczyć. Ja na jego (nad)opiekuńczość, on na moje „dasz radę”.

Dziś, kiedy kończę pisać wspomnienia z wyprawy, jest noc z 1 na 2 stycznia 2025. Odkąd wrócił motocykl, przejechałem na nim ze 20 kilometrów, żeby go umyć i wysuszyć. Aura od tego czasu nie sprzyjała, żeby po Mazowszu jeździć na moto. Co jakiś czas napadają mnie myśli (rozsądny rozum robi swoje), że swoje na motocyklu już przeżyłem, że czas go sprzedać i poszukać sobie innej aktywności. Że przecież to niebezpieczne. Że w sumie wcale mnie to nie bawi. Po co jeździć na motocyklu, skoro radość i lęki „zerują się”, więc per saldo frajdy nie ma. Karmi mnie ten rozum lękami jak nawiedzony. W Sylwestra potrzebowałem zwolnic miejscówkę parkingową pod domem dla gości. A mam na osiedlu taki kawałek szutrowego placu, gdzie tylko motocykl można wcisnąć. Wsiadłem więc na Yamahę, żeby przestawić ją w ten kąt. Siedziałem może 30 sekund i przejechałem ze 30 metrów. Rety, ależ to była radość. Zero lęków, zero braku wiary w siebie, banan na twarzy. Więc czuję, że moja przygoda z motocyklem nie zakończy się jeszcze i w 2025 roku czekają mnie kolejne wyprawy. Najbliższe dni – początek roku – to czas na tworzenie kolejnej mapy marzeń. Idealny czas aby dać się ponieść radości, fantazjom i tworzeniem konstruktywnych planów, także motocyklowych ☺

**Warszawa, 2 stycznia 2025.**

## EPILOG

---

Dzisiaj jest 8 października 2025. Właśnie mija rok od 9 października 2024, kiedy rozpoczęła się moja marokańska przygoda. Co za dziwny traf, że akurat dzisiaj, po zamknięciu rocznego cyklu, wróciłem do tych notatek. „Coincidence? Don` t think so”, cytując klasyka. W dodatku wczoraj była pełnia, czyli też dzień zamknięcia jakiegoś cyklu.

Ten rok przyniósł dużo dobrego.

Sprzedam motocykl. Po to, by kupić kolejny, z którym jeszcze lepiej się dogaduję i mam na nim jeszcze większe zaufanie do swoich umiejętności. Przeszłam bać się jeździć po szutrach.

W styczniu wykonałam kolejną mapę marzeń.

Umieściłam tam zdjęcie samochodu marzeń. I stałam się jego posiadaczem.

Jednym z haseł, które napisałam w mapie, było „Pogłębiam i poszerzam swoją wiedzę o człowieku, duchowości, osiągnięciu szczęścia”. I doprowadziło mnie to do dwóch cudownych kursów rozwojowych w Instytucie Kognitywistyki i u Macieja i Anny Jera-Bennewiczów. Pierwszy to Psychologia Doświadczeń Subiektywnych, drugi – Psychosomatyka. Ten drugi właśnie skończyłam. Tego pierwszego jeszcze nie. Mam pozaliczane egzaminy teoretyczne, przede mną jeszcze dwa duże praktyczne zadania: „Żałoba po dzieciństwie” i „Wielkie zadanie inicjacyjne”. I właśnie doświadczam iluminacji, że moje Wielkie Zadanie Inicjacyjne odbyło się, a przynajmniej rozpoczęło, właśnie w Maroku.

Kiedy czytam teraz moje zapiski o zachowaniach mojego Ego, Rozumu i Duszy, jak wtedy je nazywałam, odkrywam, że odbyłam wtedy podróż w głąb mojej świadomości, po jej poziomach logicznych, tak, jak je rozumiemy po kursie na modelu góry lodowej.

Moje zachowania (lęki związane z jazdą na motocyklu, spinanie się) były niczym innym jak ciemnym blokiem na poziomie przekonań („jestem słabym motocyklistą”), który uniemożliwiał mi skuteczną, bezpieczną i radosną jazdę i odbierał przyjemność. Podobnie ciemnym blokiem na poziomie przekonań było to, że dla 55-latka po zawale podróż może być „za trudna” i „nie wiem, czy sobie dam radę”. Dałam radę i z jednym i z drugim i to pomimo, że warunki wyprawy okazały się znacznie trudniejsze od tych, jakimi się straszylam. Dopiero kontakt z poziomem Agape (osiąganie stanów flow podczas jazdy) pozwolił Logosowi zrewitalizować przekonanie – od „podróż może być za trudna” po „radzę sobie w każdych warunkach” i w ten sposób ujawnić umiejętności, które miałam, tylko były częściowo zanurzone w nieświadomości. I dotyczy to zarówno umiejętności powożenia motocyklem jak i radzenia sobie w trudnych warunkach pogodowych w nowych, niespotykanych wcześniej sytuacjach.

Podobnie z perspektywy szkoleń uświadamiam sobie, że ta wyprawa była symboliczną drogą bohatera. Z perypetiami (stany lękowe podczas jazdy motocyklem po górach, niebezpieczną jazdą po górskich serpentynach), próbami przełamania się, żeby nadążyć za grupą, błogostawieństwem (odkrycie, że jeżdżę pewniej, gdy wyłączam myślenie i zdaję się na intuicję i kinestetykę), skarbem (nabraniem większego zaufania do siebie w sensie jazdy na motocyklu) i decyzją o powrocie i zadysponowaniu skarbem (ta wyprawa sprawiła, że poczułam się ogólnie mocniejszy psychicznie i pewny siebie w każdej dziedzinie).

PG